

982

1052

POWIEŚCI MORALNE

DLA

WŁOŚCIAN.

POWIEŚCI MORALNE

DLA

# WŁOŚCIAN

UŁOŻONE

przez

**D. Puchalskiego**



WARSZAWA,

W Drukarni Józefa Unger,

przy ulicy Miodowej Nr. 481.

1849.

WOLNO DUKOWAĆ

WOLNO DUKOWAĆ

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,  
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie d. 11 (23) września 1847 r.

Starszy Cenzor, **Trippia.**



235.109

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW  
w Białymstoku



FUW0001209

K-144/96

I.

# WSTĘP.

Pan Bóg, chcąc wynieść człowieka nad wszelkie inne stworzenie, dał mu władzę myślenia, zdolność porządkowania myśli i objawiania ich mową; nie skrepował jego chęci działania i obdarzył go pamięcią, w której zatrzymuje czyny życia przeszłego i skutki rozmaitych wydarzeń, a ztąd ma naukę na przyszłość; to jest: dał mu rozum, wolą i pamięć, czego nie dał zwierzętom. Z tych darów Boskiej Opatrzności powstała w człowieku możność polepszania swego bytu i udzielania innym tego, co sam czuje, widzi, wierzy i umie; możemy więc być użytecznymi nie tylko sobie, ale i naszej rodzinie, sąsiadom, krajowi i całemu rodowi ludzkiemu. Poznajemy jak być, ażeby nie na samém jedzeniu, piciu i spaniu życie trawić.

Cóż z tego wszystkiego wynika? Oto, że człowiek nie tylko dla samego siebie, ale i dla drugich żyć powinien; że z innymi ludźmi tak się ma obchodzić, ażeby zyskał ich miłość i szacunek, a na wypadek potrzeby, ażeby miał prawo do wzajemnej ich pomocy; że nikomu nie może wyrządzać żadnej szkody, ani nawet przykrości, ale czyto swoim obejściem, czy też usłużnością, każdemu przyjemność sprawiać powinien. Na tem zależy moralne ukształcenie człowieka, a znajomość rozmaitych stosunków ludzi pomiędzy sobą, stanowi naukę moralności, najpotrzebniejszą dla każdego członka towarzystwa ludzkiego.

Jak miła i użyteczna jest rzeczą przyzwoite i moralne prowadzenie się, a jak szkodliwie i hańbiące godność człowieka, życie niegodziwe, albo nawet samolubne tylko, okazała to następująca powieści.



## II.

*Dobry uczynek nie pozostaje bez nagrody.*

W jednej wsi, niedaleko Warszawy, mieszkała uboga wyrobnica, wdowa po uczciwym człowieku, nazwiskiem Wojciechowa. Mieszkańcy tej wsi, jako położonej blisko wielkiego miasta, nieraz mieli sposobność przypatrzenia się ludziom umiejącym czytać i pisać, ich łagodnemu charakterowi, uprzejmemu obchodzeniu się z innymi, ich wreszcie porządnemu życiu i mieniu, zapragnęli więc, ażeby, chociaż nie oni, to przynajmniej ich dzieci mogły być takimi, i postarali się o założenie u siebie szkoły. Dzieci uczęszczające do szkoły, przechodziły mimo domku Wojciechowej i często spotykały przed nim małego chłopca, zajętego robotą. Chłopiec ten mało im był znany, gdyż nigdy prawie z niemi się nie łączył ani do zabaw, ani do figiów. Tym chłopcem był Kubus, syn Wojciechowej. Nie był on przecież zupełnym odludkiem; w każdej bowiem chwili, w której nie miał roboty,

widował się z synem jednego gospodarza, skromnym Jasiem, którego bardzo kochał i lubił się z nim bawić. He razy chłopcy mieli powracać ze szkoły, zaraz Kubuś z większą pilnością kończył swoją robotę, żeby prędzej mógł pobiedz do Jasia, lub, gdy Jaś przyjdzie do niego, żeby mógł z nim się bawić. Po każdym jednakże widzeniu się z Jasiem, Kubuś był zamyślony i smutny; często nawet przy robocie lzy mu z oczu płynęły, które nieznanie ościął, żeby ich matka nie dostrzegła; ale któraż matka nie dostrzeże łez swego dziecka? Widziała je i Wojciechowa; lecz z początku myśląc, że Kubuś płacze dlatego, iż musi tak ciężko pracować, nie chciała go pytać o przyczynę, żeby jego odpowiedź nie zraniła bardziej jęj serca; starała się więc tylko nieraz ulżyć dobremu chłopcu; ale ten nigdy na to nie pozwolił i jeszcze często z własnej chęci matkę wyręczał w robocie.

Razu jednego, kiedy Kubuś był smutniejszy jak zwykle i cichy dotąd płacz jego odezwał się łkaniem, matka przemówiła do niego:

*Matka.* Moje dziecko, już nieraz widziałam lzy twoje, ale że je ukrywałeś przedemną, nie chciałam pytać się dlaczego płaczesz; myślałam też, żeś się nie najadł, a ja więcej jeść dać ci nie mogłam i dla tego mileżałam. Ale dziś, kiedy z łaski P. Boga mieliśmy dobry obiadek, a ty jeszcze płaczesz, chcę wiedzieć co ci jest.

*Syn.* Co wy-to mówicie, moja matko? ja nigdy głodny nie byłem; a chociaż też czasem brakowałoby

mi co, czy mógłbym narzekać, kiedy widział, żeście mi wszystko oddali?

*M.* Dlaczegoż tedy płaczesz? nie powinienesz z niczém ukrywać się przedemną; bo ja tylko najlepiej radzić ci potrafię.

*S.* Cóż z tego? kiedy mi jednak nie poradzicie.

*M.* Kto wie, moje dziecko, powiedz mi tylko wszystko szczerze. Mam ja więcej rozumu od ciebie i co się tobie zdaje tak trudném, to może ja łatwo znaleźć na to sposób.

*S.* Nie trzeba na to rozumu, moja matko, ale czego innego, czego wy nie macie.

*M.* Pan Bóg ma więcej niż rozdał; są i dobrzy ludzie, którzy nam pomódz mogą. Nie trać nadziei moje dziecko.

*S.* O! ja znam jednego dobrego chłopca, ale on tego nie ma, co ja potrzebuję, bo już dawniej oddał komu innemu, a ci co mają, to mi darmo dać nie chcą.

*M.* Mój synu, od dzieci nie żądać nie powinienesz, bo te nie swego nie mają; nie też bez wiedzy rodziców, lub opiekujących się niemi krewnych, albo przyjaciół, stracić nie mogą. Cóż takiego żądałeś od Jasia, bo o nim zapewne mówisz.

*S.* Nie gniewajcie się tylko na mnie, moja matko, to wam wszystko powiem. Z Jasiem najlepiej lubię się bawić, bo on taki mądry! Jak zacznie opowiadać różne rzeczy: o Panu Bogu, o świecie, o zwierzętach, o roślinach i Bóg wie o czém, to tak miło słuchać, że

się od niego oderwać nie można. Raz pytałem się go, z kąd wie o tém wszystkiém. Odpowiedział mi, że z książki, z którą chodzi do szkoły. Poszedłem z nim do szkoły, żebym się téż tylu pięknych rzeczy nauczył, ale mię p. nauczyciel nie przyjął dlatego, że nie miałem elementarza, i że przyszedłem bez waszego pozwolenia.

*M.* Tego więc płaczesz, że nie możesz chodzić do szkoły?

*S.* Tego moja matko, bo na elementarz nie macie pieniędzy, i gdybym chodził do szkoły, któżby wam tu pomagał.

*M.* Widzisz moje dziecko, że ci w tém poradzę, kiedy taką masz chęć do nauki: bo Pan Bóg skaralby mię, gdybym ci dopomódz nie miała w tak chwalebny przedsięwzięciu. Uzbierałam od naszej kury pół kopy jaj, sprzedam je i kupię ci elementarz, a w domu obejdę się bez ciebie, jak będę mogła. Kiedy przyjdiesz ze szkoły, to mi trochę pomożesz w robocie.

Kubus upadł do nóg matce i podziękował jęj za zrobioną mu obietnicę; z radością pobiegł do Jasia, powiedzieć mu, że i on będzie się uczył w szkole; a w tydzień później pyszniąc się, biegł do nięj z książką pod pachą. Nie potrzebuje wam powiadać, że ten dobry chłopiec bardzo prędko nauczył się czytać, pisać, rachować i nabył potrzebnych do swego stanu wiadomości; bo kiedy kto z chęcią bierze się czy do pracy, czy do nauki, wszystko idzie mu łatwo.

W dwa lata później Jakób wyręczał już matkę w gospodarstwie, a w kilka lat potem ogródek jęj przybrał całkiem inną postać: oprócz kartofli i brukwi, widać było w nim szlachetniejsze ogrodowiny, jako to: ogórki, kalafior, pomidory, szparagi i różne włoszczyzny, które Jakób korzystnie sprzedawał w Warszawie, a za wzięte pieniądze, lepiej jak dawniej, opatrywał spiżarnię matki i jeszcze przynajmował więcej ogrodu, a nawet pola na zboże, które obficie zbierał, aniżeli jego sąsiedzi; bo starał się korzystać z tego, czego się uczył za młodu. Patrząc na to wszystko podeszła już w lata Wojciechowa, bardzo się cieszyła i błogosławiła tę chwilę, w której pierwszy raz Kubusia wysłała do szkoły. On zaś, chociaż swoim powodzeniem ebudzał zazdrość wsi prawie całej, nie miał jednak żadnego nieprzyjaciela, i owszem każdy mu dobrze życzył, wszyscy go kochali, wielu nawet liczył prawdziwych przyjaciół; gdyż swoim słodkim obchodzeniem się z każdym, swoją uczynnością, jednał sobie serca wszystkich.

Mały ów Jaś, który swoim zamiłowaniem w nauce obudził chęć dobrego Kubusia do uczenia się rzeczy pożytecznych, teraz już gospodarz po ojcu, był najszczerzym przyjacielem Jakóba. Doznał on téż wielu jęgo przysług. Z początku zaraz; gdy objął gospodarstwo, zapadł w ciężką chorobę, Jakób doglądał jęgo domu i roli, tak, iż żadnej nie poniósł szkody. Później, w czasie pomoru na bydło, wypadł Janowi wszystek prawie inwentarz; znowu przyjaciel jęgo,

który umiał oszczędzać grosz zapracowany, pożyczył mu pieniędzy na kupno wołów i kilku krów. Miły był widok, kiedy Jan, dorobiwszy się na nowo, za pomocą poczciwego Jakóba, odniósł mu pożyczone pieniądze, i w przytomności kilku sąsiadów, dziękował mu z łzami w oczach za wyświadczoną przysługę. Uściskali się serdecznie dwaj przyjaciele, i z słodkim rozrzewnieniem przypomnieli sobie chwile młodości. Szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, kto jej żalować nie potrzebuje!

Razu jednego, w piękny wieczór jesienny, Jakób zajęty był obieraniem owocu z drzewa, które jeszcze w swojej młodości zasadził, chcąc stwierdzić doświadczeniem to, co mu w szkole opowiadał nauczyciel o sadzeniu drzew. Trudno wyrazić z jak miłym uczuciem wykonywał tę pracę, rozważając jak ciężko byłby musiał dziś pracować na lichą może strawę, gdyby w młodych swoich latach nie był się nauczył niczego więcej, prócz rąbania drzewa, założenia i tym podobnych ręcznych robót. W tym zwrócił jego uwagę długi wóz, całkiem kryty, rosłemi koniami zaprzężony i dosyć spiesznie toczący się po twardej drodze ku Warszawie. Takie wozy nie są u nas używane, a dawniej rzadziej jeszcze można je było widzieć niż teraz, Jakób przypatrywał mu się ciekawie, gdy w tém spostrzegł, że dość spory tłómaczek, czy zawinięcie, wypadło z wozu. Zaczął wołać z całej siły na jadących, ale ci, siedząc w wozie przykrytym, słyszeć go nie mogli. Pobiegł za nimi i wołał

jeszcze, ale również napróżno. Przybiegł więc do tego, co wypadło, i znalazł małą skrzyneczkę, mocno żelazem okutą i bardzo ciężką; domyślił się zaraz, że w niej muszą być pieniądze i podziękował Panu Bogu, że się nie dostały w ręce nieuczciwego człowieka, który bez żadnego może skrupułu, myśląc, że mu to dał Pan Bóg, byłby je sobie zatrzymał, i biędnych ludzi pozbawił jedyne go zapewne sposobu utrzymania. Jakób nie długo się namyślał co ma zrobić, i znalazł skrzynkę odniósł do sołtysa, któremu rzecz całą opowiedział i przy świadkach opisał wszystko jak się stało, z tą w końcu uwagą, że jeżeli za parę dni nikt się nie zgłosi po tę zgubę, odesłana zostanie do wyższej władzy. Lecz w kilka zaraz godzin, przyjechał tym samym wozem człowiek w średnim wieku do wsi i z płaczem pytał się każdego, czy nie znalazł skrzyneczki w żelazo okutej, która przetarłszy wasąg, wypadła z wozu, i która zawierała cały jego majątek, jedyny sposób utrzymania żony z trojgiem dzieci. Obiecywał znalazcy wypłacić zaraz sto talarów. Wypadek ten rozniósł się prędko po wsi i ktoś świadomy czynu Jakóba, zaprowadził podróżnego do sołtysa. Z łzami wdzięczności dziękował uradowany właściciel skrzynki poczciwym ludziom, a dla Jakóba wyliczył z niej sto talarów; lecz ich Jakób nie chciał przyjąć, mimo usilne naleganie podróżnego, który ujęty tym szlachetnym postępkim, rzekł popsułą polszczyzną, (był to Niemiec), te prawie wyrazy: „Daruj poczciwy czło-

wieku, że chciałem pieniędzmi nagrodzić czyn, który tylko w sercu znajduje nagrodę; poznaję teraz dla czego moi ziomkowie tak chętnie przenoszą się do tego kraju; bo gdzie tak szlachetni mieszkają ludzie, tam nie łatwo można zostać ubogim. Alei my jesteśmy rzetelnymi: obiecałem z tej skrzynki sto talarów dla znalazcy, nie mogę więc zatrzymać ich sobie. Proszę zatem pana soltysa, ażeby tę sumkę przyjął na potrzeby gminy, lub dla jakiego dobroczynnego zakładu. Uściskał po raz dziesiąty wszystkich i spieszył pocieszyć zmartwioną żonę z dziećmi, a Jakób, pamiętając, jak trudno było mu chodzić do szkoły, zaproponował, ażeby te pieniądze umieścić na hipotece, a procent od nich przeznaczyć na odzież i książki dla najbiędniejszego we wsi chłopca, któryby miał ochotę uczyć się w szkole. Przyjęto ten projekt, i Jakób nie jedną w swém życiu miał pociechę z ludzi, którzy mu swoją naukę i swoje powodzenie byli winni.

Widzicie więc kochane dzieci, że dobry uczynek, chociaż później, bywa jednakże wynagrodzonym. Jaś, że nie chodził z innymi chłopcami na figle, ale dobremu Kubusiowi dał uczuć powab nauki, nietylko że nie dał sukien i nie był łajany, ale jeszcze zyskał przyjaciela, który go potem od ostatniej może uratował nędzy. Wojciechowa, dopomógłszy synowi do nauki, chociaż pozbyła się wyręczenia w pracy, żyła potem swobodnie i umarła spokojna o los swego sy-

na. Jakób zaś za swoje dobre uczynki był kochany od całej gminy i nieraz najśladziej w sercu doznawał radości, która potrafiłaby go cieszyć i w największym smutku, jeżeliby Bóg Wszechmocny dopuścił jaki na niego.



## III.

*Nieuczynność często na złe wychodzi:*

Człowiek nieuczynny jest tém w towarzystwie ludzkim, czém jest drzewo nieurodzajne w ogrodzie owocowym. Dobre gospodarz każe wycinać na ogień takie drzewo, aby napróżno nie wyciągało z ziemi soków, dla rodzajnego drzewa potrzebnych. Podobnie człowiek nieuczynny, nie przykłada się niczému do pomyslności drugich, a sam cżycha tylko, jakby mógł korzystać z owocu ich pracy. Taki człowiek nie lubiany od nikogo, sprzykrzy się drugim i wreszcie same mu sobie: gdyż bezustannie dręczony będzie zazdrością, widząc jak inni pomagają sobie nawzajem, a dla niego nic uczynić nie chcą. Sprawdza się na nim ta nauka Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa: „Jaką miarą miarzyćcie, taką wam będzie odmierzone.“

Zamożny jeden gospodarz miał kilku synów. Z tych najstarszy, imieniem Błażej, od dzieciństwa zaraz odosobniał się od braci; nie dzielił z nimi zabawy,

nie jadał nawet razem z nimi, ale wzięwszy część dla siebie przeznaczoną, odchodził na stronę z obawy zapewne, żeby go o kęs nie proszono. Gdy podrośli, próżno żądano od niego jakiej posługi, nigdy on nikomu nie nie wyświadczył, chociaż widział nieraz, że bracia jego szczerze za swoją uczynność byli nagrodzeni. Płakał z zazdrości, gniewał się, klócił, ale się nie poprawił. Jeżeli który z gospodarzy wezwał chłopców do pomocy w sprzątaniu siana, on nigdy z nimi nie poszedł, sie też musiał lykac ślinkę, widząc, jak częstokroć za swoje uczynność smacznie zajadali, i nie jedno zgryzł kwaśne jabłko, słysząc ich drwinki z siebie. Nic to jednak nie pomogło, żył sam dla siebie i przewano go odludkiem.

Pewnego dnia przed świtem zastukał sąsiad do domu ojca Błażeja. On tylko i brat jego młodszy byli pod ten czas w chacie. Sąsiad żalił się, że mu skradziono konie i prosił żeby który jechał z nim ich szukać. Jędrzej, brat Błażeja, strudzony pracą dnia poprzedniego, namawiał go, żeby wyświadczył tę sąsiadką uczynność, ale on ani słuchać nie chciał o tém; wstał więc Jędrzej i pojechał z sąsiadem. Wkrótce jednak Błażej żalował swojej nieuczynności. Zawołano na pańszczyznę, nikogo w domu nie było, i Błażej musiał wziąć siekiere, bo miał robić przy cieślach. Robił niechętnie i niezgrabnie, bo nigdy szczerze nie przykładał się do pracy, nie był więc do niej wprawnym. Zaciągano belki, Błażej był na górze przy windzie, zsunęła mu się noga, spadł i złamał rękę.

Z bólu przeklinał siebie, że nie jechał szukać koni, to znowu przeklinał brata, że pojechał; ale to nie nie pomogło; ból się wzmagał, a do tego przyłączył się inny, nierównie jeszcze dotkliwszy, bo pochodzący z zazdrości. Brat wynalazł konie i w nagrodzie dostał pięknego żrebea. Obadwa więc otrzymali pamiątki. Jędrzej za swoje uczynność miał konia na przyszłe gospodarstwo; Błażej za nieuczynność stracił rękę, bo nigdy już nią władać nie mógł. Wyszedł on na tęp podobnie jak ów koń, który nie chciał pomóc osłowi. Posłuchajcie jak to było:

#### BAJKA.

##### Koń i Osioł.

Przyjacielu, rzekł osioł, widzisz te ciężary,  
 Tyś i młody i silny, ja słaby i stary,  
 Przyjmij trochę, jeżeli mile ci me zdrowie.  
 Nie, nic z tego nic będzie, dumny koń odpowie.  
 Ha cóż robić? szedł biedak obciążony srodze;  
 Ale pracą znękany, padł martwy na drodze:  
 A nieuczynność słusznie tę karę odniosła,  
 Że koń potem niósł wszystko, nawet skórę osła.

St. Jachowicz.

#### IV.

##### *Każdy powinien pełnić obowiązki swoje.*

Niema podobno stworzenia, któreby, dla utrzymania swego życia, nie musiało pracować, któreby nie miało obowiązków swoich do wypełnienia. Nie mówię już o pracowitej pszczołe i skrzętnej mrówce, pomijam tyle zwierząt domowych, które tak ciężką pracą obsługiwać muszą człowiekowi wiązkę paszy, albo garść zboża, ale nawet mało znane i wzgardzone zwierzątko, *leniowcem* zwane, co większą część życia swego na jednym miejscu przesiedzi, z jakimże to mozołem i pracą starać się musi o lichy swój pokarm! Z wielkiem utrudzeniem niezgrabnych członków załogi dostać się może na drzewo, chroniąc się przed swymi nieprzyjaciółmi; to znowu gdy go głód przyciśnie, z taką męką schodzić musi dla żeru na ziemię. Samżeby więc tylko człowiek, obdarzony tylu zdolnościami, miał nie pracować na utrzymanie życia, i nie wypełniać swoich obowiązków? Nie, zaiste!

Niema też jednego człowieka na świecie, któryby nie miał obowiązków do wypełnienia, a im wyższy w towarzystwie stopień zajmuje, tém obowiązki jego są rozciąglejsze, albo trudniejsze do wykonania. Sluga, gdy służbę swą dobrze odbędzie, spokojnym spać położyć się może; ale pan jego, który dzień cały mierzwił się nad środkami dostarczenia żywności rodzinie i sługom swoim, częstokroć całe noce trawi nad wyszukaniem sposobów do zapewnienia im dalszego utrzymania. Niech więc słudzy nie zazdroszczą majątku swojemu panu; łatwiej oni szczęśliwsi od niego być mogą, gdy tylko wiernie i należycie obowiązki swoje wypełnią. Jak miło jest patrzeć na polniącego swoje obowiązki, i jak użytecznie jest wypełniać je, poznacie to z następującej bajki:

**Chłopczyk wśród drogi, (z francuzkiego).**

Szedł chłopczyk z książkami, bardzo mu ciężyły,  
Ten ciężar nie wszystkim zarówno jest miły;  
Kazali, cóż robić? iść musiał do szkoły.  
„Stój — z płaczem przemówił do lecącej pszczoły,  
Stój, pszczołko, na chwilę i pomów z dzieciną:  
Tys sobie wesola... mnie z oczu łzy płyną;  
Ja idę do szkoły, tam człowiek surowy,  
Ni tam się uśmiechnąć, ni tam z kim rozmowy,  
Wstrzymaj się, pszczołeczko, przychylnie wskaż oko,  
Nauczysz mnie może tak latać wysoko.  
A pszczołka mu rzekła: wstrzymać się nie mogę,  
Powinność mnie wzywa, spieszę w dalszą drogę.

O! muszę dokończyć mego plastru mioda,  
Gdy zima nadejdzie, zginęłabym z głodu;  
Jak piękna pogoda zesłały nam nieba!  
Bądź zdrowsz mój chłopczyku, korzystać z niej trzeba.  
W tém loci jaskółka, a chłopczyk ją goni,  
I znowu ze łzami przemawia tak do niej:  
Wstrzymaj się jaskółko, i zabaw się ze mną,  
Ja ciebie tak lubię, trzeba być wzajemną.  
Nie, dziecię kochane, wstrzymać się nie mogę,  
Powinność mnie wzywa, spieszę w dalszą drogę;  
Mam wielu przyjaciół, i wiesić im przynoszę,  
Że się już wiosnianie zbliżają rozkosze:  
Niech się tój pociechy dowiedzą odemnie;  
Nie, nie mogę i chwili tracić nadaremnie.  
I stanął jak wryty ów chłopczyk zdumiały,  
I znowu mu z oczu łez krople padały,  
I znowu szedł zwoła... W tém brytan wypada,  
Mój ty psie kochany! — chłopczyną powiada,  
Czy się też pozwolisz przybliżyć dziecinie?  
Ja w tobie pociechę pokładam jedynie;  
Nie cierpię tych książek... już ręce zdrtęwiały,  
Bodaj-to się bawić! swawolnie dzień cały!  
O! jakże to wasze przyjemne jest życie!  
Biegacie swobodnie, i nic nie robicie.  
O! bardzo się mylisz — rzekł brys do chłopczyka,  
Czy widzisz opodal na polu rolnika?  
No widzę! — To pan mój, pracuje on w pacie,  
Ale i ja mu ulgę przynoszę w robocie.

Tak wielkiej odemnie doznaje pomocy:  
 On wstaje ze świtem, ja nie śpię i w nocy,  
 Ja czuwam, by jego nie zmarniał majątek,  
 I każdy troskliwie obejrzę zakątek,  
 I wołu przebudzam, co ziemię tę orze,  
 By plenne dla ludzi zrodziło się zboże.  
 Tak pracą się wszystko na świecie ustala,  
 Gdy głód nam zagraża, praca go oddala.  
 A każdy przy pracy tak czerstwy, wesoły,  
 O! porzuć lenistwo, idź dziecię do szkoły.



## V.

*Złego człowieka każdy unika, a każdy rad żyje  
 z człowiekiem uczciwym.*

W jednej z wiosek Mazowsza było dwóch braci, którzy od dzieciństwa samego przeciwne okazywali skłonności. Starszy posepny, opryskliwy, niechętny, był sam dla siebie; proszony o posługę, zbywał ją wymówką, że nie ma czasu; wezwany do pomocy, odpowiadał kornąbrnie: „zróbcie to sobie sami“ „ja tego nie potrafię“ i t. p. Młodszy zaś gotów był zawsze pomagać drugiemu, nigdy mu o nic nie mówiono dwa razy; zaledwo kto zażądał, iżby mu poszedł w jakie miejsce, biegł chętnie Stas uczynny, i najmiłszą to było dla niego nagrodą, kiedy go pochwalono, że się dobrze sprawił. A gdy mu przeznaczono jaką robotę, starał się ją wykonać jak najlepiej, zajmował się nią pilnie, i nie dał się odmówić do żadnej zabawki, dopóki nie wykończył rozpoczętej pracy. Dla tego Stas był kontent z siebie, jego twarz zawsze wy-

pogodzona i wesoła, uśmiechała się tem więcej, gdy go każdy witał życzliwie i przemawiał do niego uprzejmie. Kochali go ludzie, i on ich kochał i dobrze mu z tem było.

Dłaczegóż z Michasiem, starszym jego bratem, działo się inaczej? O! bo on robił tylko z musu, a za ledwie skończył robotę, zaraz uciekał do figlów, albo z drewna wystrugiwał sobie jakie fraszki. Nieuczynny dla drugich, nie miał też przyjaciół, gdyż ani słowem, ani przysługą nie zobowiązał sobie nikogo, odstręczył owszem niegrzeczném obejściem, zniechęcał kwaśną miną; każdy go więc mijał, a nie jeden mówił: „Co-to będzie z tego chłopca?“ — „Pewnie że nic dobrego“ — odpowiadano sobie nawzajem.

Chociaż już był na własném gospodarstwie, Michał nie zmienił swego postępowania, a nawet gorszy był jeszcze, bo więcej miał sposobności do wyrządzania złego; klócił się z sąsiadami, dokuczał im więcej, jakby opisać można; bo za ledwo cudza owca przeszła jego miedzę, już ją zajmował bez względu na proźby i płacz biegnącego za nią chłopczyny. Mała dziewczynka biednej wdowy, komornicy, w dzień słotny i zimny okrywszy się płachtą, usnęła chwilką pod drzewem, a tymczasem gęsi, których strzegła, iżby skubały tylko trawkę nad rowem, weszły na jeźmienne rzyisko gospodarza Michała. Znajdował on się tam właśnie, mógł więc i zbudzić i ziajać dziewczę, ale nie, tego nie zrobił, bo to byłoby lepiej, a zło jego serce popychało go zawsze ku gorszemu; nie

spędził więc gęsi, ale je gonił, bił, męczył, popotrącał, ubił nawet jedną, chociaż krzykiem biednych stworzeń przebudzona mała Kasia, płakała i wzywała jego litości, schalasował ją i poszturał jeszcze za szkodę, jaką powiedział, że ma z jej winy. Biedna mała, zanosząc się od płaczu, podjęła gęś i zawlokła ją do domu; tam uboga matka zapłakała nad stratą i nad złością Michała, ale przed kimże miała się użalić? Westchnęła do Boga, bo w nim ufała, że jej cierpienia i krzywdy, jakich doznawała, nagrodzi; a że była pobożna i dobra kobieta, w duszy przebaczyła nawet temu złośnikowi swą stratę.

Ale z tych i wielu podobnych niedobrych czynów, wieś cała coraz więcej nie lubiła Michała; każdy go unikał, mijał i nie jeden wolał zrobić więcej drogi, aby się tylko nie spotkał z nim, a on żył jak żółw w skorupie; myślał tylko o sobie, posępny, z niczego niekontent, a chociaż skapstwem swoim zbierał jak każdy sknera, i niby na niczem mu nie zbywało, nędzny był jednak, bo nie posiadał tego, co największém jest dobrem, to jest: nie posiadał życzliwości ludzi i wewnętrznego zadowolenia.

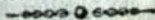
W jeden z słotnych wieczorów jesieni, kiedy wiatr trząsał zawiasami drzwi w sieniach, a deszcz bił o szyby okien, Michał usłyszał kolatanie do domu. Niechętny, wstał jednak myśląc, że kto idzie do niego z interesem, na którym on zyskać potrafi. Otworzył drzwi na powtórzone stukanie i zobaczył drzącą starszkę, która go prosiła o posiłek i nocleg. „Ja nie

mam co dać na wieszczę, ani też posłania i miejsca na przemocowanie. Poszukajcie sobie tego gdzie indziej.“ mruknął Michał i zamknął drzwi przed staruszką. Westchnęła biedna kobieta, przetarła zmokłe deszczem oczy, i drżące od znużenia nogi skierowała w stronę, gdzie jaśniejsze ujrzała światelko. Było to w chatce Stanisława, którego już znamy. Nieśmielęj zapukała do drzwi staruszka, ale otworzono jej skorzęj jak u Michała, i wprowadzono prędzej, aniżeli powiedziała czego potrzebuje.— „Siądźcie matko, bo widać żeście strudzeni, rzekł Stanisław, przysuwając ławę bliżej komina. Również gościnnie przyjęła staruszkę żona Stanisława, była nią ta sama komornica, matka owej malęj Kasi, której Michał zabił gęś tak nielitościwie. Owdowiała ona od roku, a Stanisław ożenił się z nią przed kilku tygodniami, bo mu się podobala z swęj poczciwości. Jego więc żona zdjęła zaraz ze staręj zmokłe odzienie; mała Kasia wysuszyła jęj obuwie, wtenczas gdy matka krzątała się, żeby przygotować co ciepłego do posiłku. Niedługo zastawiono skromną wieszczę; staruszka przeżgnawszy się, siadła do nięj i zajała smaczno, a wkrótce potęm pomodliwszy się, zasnęła na świeżem posłaniu. Nazajutrz, po śniadaniu, zaczęła się w dalszą wybierać drogę, ale jeszcze na pogodę nie bardzo się miało, prosił ją więc Stanisław i żona, a nawet i dziecko, żeby jeszcze u nich została. Dała się namówić staruszka i chętnie przesiedziała dni kilka. Już i pogoda ustaliła się, a Jacentowa, tak się nazy-

wala stara, siedziała jeszcze. Ona tak była pobożną i łagodną, w chatce tak dla nięj byli uprzejmi, pokochali się więc nawzajem. Wybrała się wreszcie w drogę i z łzą w oku żegnała gościnnych ludzi. Gdzież pójdziecie moja matko, mówił Stanisław, czy do swoich, czy tulać się pomiędzy obcemi? — O! ja nie mam swoich, ale Bóg nię nie opuści. — Sluchajcie więc: nasza Kasia użyta już być może do większęj roboty, wy dopomagalibyście co łatwiejszego w domu i nie bylibyście nam ciężarem.— „Moje dzieci, miłęm mi to wezwanie, tak, zostanę z wami, i nie, nie będę wam ciężarem. Ja nie jestem biedna, spotkały mię tylko smutki z dopuszczenia Boskiego. Umarł mi mąż już dawno, pomarły i dzieci, co były moją pociechą. Sama zostałam we wsi, w której nie znalazłam nikogo, coby moje nieszczęście zrozumiał i udzielił pociechy. Wybrałam się na los, umyśliwszy iść tak długo, dopóki nie trafię na ludzi uczciwych. Wstępowałam do miejsc wielu, nigdzie mi się nie podobało, was dopiero znalazłam takimi, jakich pragnęłam i chętnie wam się powierzam. Weźcie to pieniądze, które zebrałam, sprzedawszy co było mojem, i uczciwie dożywcie mię do śmierci.“— Chętnie na to przystał Stanisław; dobręm użyciem otrzymanych pieniędzy zagospodarował się lepiej i mógł więcęj dobrze czynić drugim, a ludzie nawzajem dopomagali mu we wszystkim.

A Michał co robił? Zazdrościł bratu i wszystkim dobrego mienia, był więc zawsze niekontent i mar-

twił się, że drugim lepiej się wiodło, nigdy nie do-  
brego nie uczynił nikomu, żadnej też w sercu nie do-  
znał pociechy; spotkało go więc to co prędkiej, czy  
później, spotyka złych ludzi: zmarniało jego gospodar-  
stwo, wyniszczaly inwentarze, bo nikt złemu czło-  
wiekowi nie podał ręki, a on ze zgryzoty i złości  
umarł na żółciową chorobę. Za trumną jego szedł  
tylko Stanisław z kilku swymi przyjaciółmi. Nie żałował  
nikt nieużytego Michala, a nie jeden może dziękował  
Bogu, że uwolnił wszystkich od złego sąsiada. Dziecił  
niech was ten smutny przykład wstrzymuje od złego,  
starajcie się zawsze o dobre imię i przyjaźń u ludzi.



## VI.

*Człotekowi uczciwemu samo nawet nieszczęście  
często na dobre wychodzi.*

Z układu społeczeństwa ludzkiego, wynikają rozmaite powinności człowieka, które każdy uczciwy chętnie pełni, ażeby nie był próżnym ciężarem dla drugich, lecz ile możności przyczyniał się do wspólnego wszystkich, a tém samém i własnego dobra, iżby nawzajem miał prawo do świadczenia należnych sobie usług. Mówię uczciwy, bo dosyć jest być uczciwym człowiekiem, żeby oddać każdemu, co mu się należy, nikomu nie wyrządzić szkody, ani krzywdy, ale owszem, pomódz mu w potrzebie, świadczyć wzajemnie przysługi i być użytecznym wszystkim. Takiego człowieka nie tylko każdy szanuje i kocha, nie tylko pomaga mu wzajemnie w potrzebie, ale nawet samo nieszczęście nieraz wychodzi mu na dobre, jakto zobaczycie w przypadku jednego poczciwego chłopca, o którym zaraz wam powiem.

Razu jednego chłopcy grali w piłkę na obszernym dziedzińcu. Kiedy się właśnie najbardziej rozochocili, jeden z nich tak nieostrożnie rzucił piłką, że trafiła w okno i wybiła wielką szybę zwierciadłaną, to jest: ze szkła szlifowanego, która kosztować mogła 75 kopiejek. Chłopcy brzękiem szkła przestraszeni, uciekli na inne miejsce i tam na nowo bawili się zaczęli, lecz pomiędzy nimi nie było już Franusia, który stłukł okno; tak się tym przypadkiem zmartwił, że smutny poszedł prostą do domu.

Właściciel mieszkania, w którym szyba została stłuczona, widział poprzednio grających chłopców i znał wszystkich, gdyż to były dzieci jego sąsiadów. Chciał on dowiedzieć się o sprawcy tej szkody, żeby mu to na sucho nie uszło i żeby go nauczył być ostrożniejszym na potem; posłał więc do rodziców, iżby ci wybadali swe dzieci, które z nich stłukło okno; lecz żadne z nich nie wiedziało, czyja piłka trafiła w szybę, ani się też do winy przyznać nie chciało. Franus jednakże, którego właściciel szyby przypadkiem nie dostrzegł pomiędzy innymi, i do jego rodziców nie posyłał, nie mógł się uspokoić i postanowił sam wyznać swoją winę; długo jednakże namyślić się nie mógł: czy to ma uczynić przed rodzicami, czy przed tym, komu szkodę zrobił. Znał on go dobrze, był to bowiem kupiec, do którego sklepu często posyłał go rodzice po różne sprawunki; uważał nadto, że jest dobry i z każdym obchodził się łagodnie; postanowił więc pójść do niego i przyznać się do winy.

Kupiec połajał go wprawdzie za jego nieostrożność; jednakże, widząc jego pokorę, przebaczył mu na ten raz i pochwalił jeszcze uczciwość jego, która go bardzo ujęła. Niedosyć, starał się on widzieć z nauczycielem i dowiedzieć się o postępowaniu Franusia w szkole, a gdy go zapewniono, że to było bardzo moralne, poszedł do jego rodziców i ofiarował łożyć na jego nauki, dopóki tyle nie będzie umiał, żeby go do swego handlu mógł użyć. Ubogimi byli rodzice Franusia, z wdzięcznością więc przyjęli ofiarę kupca, i oddali mu swego syna. Poczciwy ten chłopiec był zawsze pilnym i wiernym w wykonywaniu swoich obowiązków; coraz bardziej podobał się swemu panu, a ten coraz więcej okazywał mu względów. Tak wreszcie ów swawolny i nieostrożny chłopiec usposobił się w czynnościach handlowych, że nie tylko prowadził wszystkie interesa swego pryncypała, ale jeszcze został komissantem kupców z miast innych i do takiego przyszedł stanu, że rodzicom swoim dał wygodne utrzymanie aż do śmierci.

Widzicie kochane dzieci, jak to ludziom uczciwym i nieszczęściu nawet na dobre wyjść może. Starajcie się więc zawsze być uczciwymi, a jeżeli nie więcej, to spokojność sumienia i powszechny szacunek mieć będziecie w nagrodzie. Zdarza się wprawdzie czasem, że i człowiek uczciwy doznaje przesładowania i cierpi niowinnie; lecz gdy ma czyste sumienie, szczęśliwym być może, a niewinność jego prędzej



czy później na jaw wyjdzie. — Wyjaśni wam to następująca bajka.

### Wyżeł i Brytan.

Wyżeł, czolgacz pochlebny, zdrajca skryty w duchu,  
 Chcąc się panu przymilić, stawał na podsłuchu:  
 I nosił raz w raz plotki, uśladny i tajny,  
 Jako jemu podobnych, zdrajców kunszt zwyczajny;  
 W tém złodziej, co na dobrą porę w nocy czekał,  
 Nakarmił wyżła skrycie i wyżeł nie szczekał.  
 A gdy i brytanowi przysmaczku użyzył,  
 Rzucił wierny pieczenia, złodzieja skalęczył.  
 Uciekł ten, wyżeł pobiegł tymczasem do pana,  
 Dając wściekłym zabójcą, mianował brytana,  
 Wypędził go z domu, a złodziej skradł w nocy,  
 Poznał go, niewczasie, jak był ku pomocy  
 Ów wyżeł, który go odzilił; więc nazad powrócił,  
 A wyżeł, zdrajca, na się lizał, balamucił,  
 Gdy na nowo zamysłał jak kogo uwięzi,  
 Z skal, czego był godzien: wisiał na gałęzi.

Ig. Krasicki.

### VII.

*Pocziwość rodziców przyczynia się do szczęścia ich dzieci.*

W mieście Kaliszu żył kołodziej, który swoją pocziwością i pracą zjednał sobie powszechny szacunek. Miał on żonę i ośmioro dzieci, a tak liczną rodzinę utrzymywał przyzwoicie jedynie z zarobku swojej pracy i jeszcze coraz bardziej mająteczek swój pomnażał. Z początku, zaczynając rzemiosło prowadzić sam na siebie, miał tylko jednego czeladnika, z którym w najętej izdebce pracował usilnie, żył skromnie i starał się codziennie oszczędzić jaką cząstkę swojego zarobku. Żeniąc się, wziął panienkę ubogą, ale również pracowitą, bogobojną i pocziwą. Utrzymywała ona z własnej pracy starą i chorowitą matkę, która potem kilka lat jeszcze mieszkała przy niej i przy jej mężu, a swoim zięciem. Pomnożyły się przez te wydatki pocziwego Zwońskiego, tak się nazywał ten kołodziej, nie tracił jednak nadziei w dobroci

Boga, że mu pomoże i pracy jego pobłogosławi. I rzeczywiście coraz więcej zamawiano u niego roboty, tak, iż nie mogąc jej nastarczyć z jednym czeladnikiem, przyjął drugiego, a żona nie mając z początku, przy szczupłym jeszcze gospodarstwie, tak wiele zachodu, brała do szycia bieliznę i różne rzeczy kobiece, czem także przyczyniała się do większej zamożności w domu.

Zwoński miał coraz większy odbyt na swoją wyrobę, bo do nich brał dobre i należyte wysuszone drzewo, wyrabiał je starannie, i pilnie doglądał czeladników, ażeby ci również mocno i trwale, a nawet zgrabnie, co do powierchowości wyrobu, robotę swoją wykonywali. Kto więc kupił jego koła, i używał ich dłużej, jak zwykle, nietylko na drugi raz poszedł do niego po inne, ale i swoim znajomym, a nawet każdemu, z kim zdarzyło mu się o tym mówić, radził po koła udać się do Zwońskiego, którego tak w mieście, jak i w okolicy, nazywano poczciwym, gdyż i towar miał lepszy, jak inni rzemieślnicy, i taniej go sprzedawał, przestając na mniejszym zysku, który mu się sownie nagradzał przez to, że był częstszym.

Tym sposobem poczciwy kołodziej w dość krótkim czasie przyszedł do takiej zamożności, że sobie kupił domek na jednej z bocznych ulic i znaczny warsztat założył. Starsze dzieci posyłał do szkoły, młodsze uczyły się w domu czytać od starszych; najstarszego zaś syna, chociaż ten skończył czwartą klasę,

nie starał się umieścić w Bzurze, jak to nierozsądnie zwykli czynić inni rodzice, ale uczył go kołodziejstwa w swoim warsztacie, ażeby na wypadek słabości mógł go zastąpić, lub w razie wczesnej śmierci, prowadzić dalej rzemiosło, któremu był winien szczęście całej rodziny.

Lecz wszechmocny i dobrotliwy Bóg, który wie najlepiej, co jest z dobrem jego dzieci, nie pozwolił cieszyć się długo szczęściem tej poczciwej rodziny. Razu jednego wybuchł pożar w sąsiednim domu. Zwoński wyprowadziwszy dzieci i żonę w bezpieczne miejsce i wyniósłszy z czeladzią rzeczy potrzebniejsze, pobiegł na ratunek płonącego domu. Wkrótce i dom jego ogarnęły płomienie: a jemu, przy rozrywaniu dachu z przyległego domu, dla zapobieżenia szerzeniu się ognia, strzaskala nogę belka, przez niezręcznych upuszczona. Oprócz domu, stracił Zwoński wielki zapas materiału, przysposobionego do warsztatu, a długie leczenie nogi, pozbawiło go gotowizny, wieloletniemi staraniami oszczędzonej. Nie rozpaczal jednak poczciwy ten człowiek, bo ufal dobroci Boga, i spokojnie wziął się na nowo do pracy, bo wierzył, iż to nieszczęście spotkało go z dopuszczenia Boskiego.

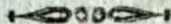
Trudniej już teraz było dorabiać się mimo najusilniejszej pracy. Liczna a młoda rodzina wiele potrzebowała; brakło materiału do warsztatu, a nie było pieniędzy na jego nabycie; odbudowanie domu, chociaż ubezpieczonego w Towarzystwie Ogniowem, wy-

magalo także gotowizny. Mógł wprawdzie Zwoński dług zaciągnąć, byłby mu każdy chętnie powierzył swój kapitał; znał on przecież, iż za pożyczane pieniądze trudno się dorobić, a prócz tego, obawiał się, ażeby, gdyby mu się nie powiodło, nie mógł zaspokoić swego wierzyciela, i nie obciążył swego sumienia. Sprzedał więc plac wraz z tém, co mu się należało z Towarzystwa Ogniewego na budowę domu; a za wzięte pieniądze kupił materiału do swego rzemiosła, urządził warsztat i zapłacił roczne komorne z góry.

Nie tu jednakże był koniec nieszczęść Zwońskiego. Nadwężone zdrowie jego, czy to wytrzymałym bólem, z powodu stłuczenia kości, czy też tak nagłymi kłopotami, zaczęło go coraz bardziej opuszczać, aż wreszcie musiał porzucić warsztat i położyć się w łóżko, z którego już nie wstał. Rok przeszło trwająca choroba, sprawiła wielką różnicę w domu poczciwej rodziny, która po śmierci tak zaradnego gospodarza, zupełnie prawie zubożała. Już teraz najstarszy syn, z jednym tylko czeladnikiem prowadząc warsztat, nie mógł opędzić potrzeb młodego rodzeństwa; gdyż i matka jego, znękana boleścią po tylu stratach i przerażona okropną przyszłością swych dzieci, uległa chorobie, która ją wkrótce zabrała z tego świata.

Cóż teraz poczną sieroty bez ojca i matki! Nie troszczcie się, albowiem jest Ojciec niebieski, który ma staranie o najlichszym stworzeniu. Biedne dzieci! straciły wprawdzie rodziców, ale im pozostało wspomnie-

nie ich poczciwości. Zaraz po śmierci ich matki, Pan Bóg przemówił do serc dobroczynnych ludzi, którzy szanowali cnoty ich rodziców. Ci więc zebrali się w domu sióret i każdy z nich chciał wziąć przynajmniej jedno na wychowanie. Zgodzono się, że najzamożniejsi porozbięrali pozostałe sieroty, których losem zajmować się wzajem sobie przyrzekli. Najstarszy syn pozostał przy warsztacie ojca, który z czasem do dawniej jego doprowadził doskonałości; z czterech braci: dwóch wyszło na zamożnych rzemieślników, jeden został kupcem, a czwarty, którego w. . . do siebie obywatel wiejski, dorobił się tak, że kupił mały folwark i na nim uczciwie wiódł życie; z trzech sióstr, jedna umarła, a dwie poszły za synów właścicieli fabryk — Widzicie, jak poczciwość rodziców przyczyniła się do szczęścia ich dzieci.



## VIII.

*Pan Bóg za występki rodziców częstokroć karze i dzieci.*

Niedocieczona w swych wyrokach sprawiedliwość Boska, częstokroć za winy ojców karze ich dzieci. Liczne tego w dziejach świata znajdują się przykłady, każde prawie pokolenie, co mówię? każdy człowiek, jeżeli tylko z uwagą na okolo siebie poglądał, widział rękę Boską, wymierzającą karę za przestępstwa ludzkie na ich następne pokolenia. Alboż i my nie widzimy, jak Bóg ślepotę żydów, którzy nie chcieli poznać zesłanego do nich Niebieskiego Messyasza, Jezusa Chrystusa, karze aż dotąd w ich tulactwie i rozproszeniu po całym świecie? Z wielu przytoczę wam jeden przykład, którego byłem świadkiem w mojej młodości, a który nie jednemu przypomni nie mało podobnych zdarzeń.

Przed czterdziestu laty osiadł w Warszawie człowiek nikomu nieznanym, około trzydziestu lat mający, który powiedział, że służył w wojsku. Kupił on sobie

domek na ulicy Furmańskiej za pieniądze, Bóg (tylko wie jakim sposobem nabyte, a z późniejszego jego życia wnosząc, najpewniej złupione w czasie zaburzeń krajowych. Nie miał żadnej nauki, nie znał żadnego rzemiosła, pracować mu się też nie chciało, bo tego pewno nigdy nie lubił, wziął się więc do zarobku lekkiego, ale najniegodziwszego. Pożyczał ubogim ludziom pieniędzy na zastawy, każąc sobie płacić pięć groszy od jednego złotego na miesiąc. Mimo tak wielki procent, bo przez pół roku równający się pożyczonemu kapitałowi, byli przecież tak nierozsądni, albo tak nieszczęśliwi ludzie, że chociaż ze zgrozą i eburzeniem, przynosili mu jednak różne rzeczy, niekiedy im samym bardzo potrzebne, jako to: suknie, chustki, płaszcze i t. p. za które pożyczał im pieniędzy tyle, ile wynosiła zaledwie trzecia część ich wartości, z warunkiem, że jak pieniądze pożyczonych nie odbierze w czasie oznaczonym, rzecz zastawiona stanie się jego własnością.

Nie potraficie wystawić sobie, kochane dzieci, ilu ta szatańska przysługa narobiła nieszczęśliwych ludzi. Nikt prawie nie odebrał od tego przekłętą lichwiarza swoich rzeczy, bo kto musiał pożyczać pieniędzy z tak uciążliwymi warunkami, ten był zapewne albo bardzo biedny, albo bardzo nierządny, nie mógł więc wykupić swoich rzeczy i te panoszyły niegodziwego człowieka.

Przez kilka lat tak niesumienego ździerstwa stał on się panem, znacznego majątku i ożenił się z bogatą

wdową, matką dwóch córek, właścicielką domu na Podwalu, która też zapisała połowę swego majątku. Srogie obchodzenie się jego z żoną, było przyczyną ciągłego jej zmartwienia, z którego wpadła w ciężką chorobę i wkrótce umarła, zostawiwszy dwóch jeszcze synów. Niegodziwy lichwiarz zaraz po śmierci żony wypędził z domu jej córki, a synów sposobił do takiego życia, jakie sam prowadził. Nie tylko lichwą, oszukiwał on innych rozmaitemi sposobami. Liczne jego oszustwa wplątały go w procesa, ale jeżeli stracił na przegranej sprawie, zyskał na doświadczeniu i nauce wybiegów, co mu podało nowy sposób zarobkowania, czyli oszukiwania niedoświadczonych.

Przypatrzwszy się zblizka kierunkowi spraw w sądach i poznawszy niektóre zasady oraz artykuły prawa, zaczął udawać biegłego w prawie i podejmował się ludziom prostodusznym prowadzić ich interesy, uwikłane w spory sądowe; lecz najczęściej, wzięwszy zapłatę od strony, która mu swoją sprawę powierzyła, poprowadził ją najgorzej, ponieważ wziął większą zapłatę od strony przeciwnej za to, żeby powierzonych sobie sprawy nie dopilnował, lub tak ją skierował, iżby została przegrana.

Lecz Bóg litościwy zmiłował się nad nieszczęśliwymi, którym podły ten człowiek nieraz ostatni kawałek chleba wydarł swemi podstępami. Pierwszemu poniżeniem jego była sprawa, w której powołał go przed sąd uczciwy jeden człowiek, imieniem dzieci jego żony, wypędzonych z domu. Nietylko że im mu-

siał zwrócić połowę majątku ich matki z prawnym derobkiem, ale nadto rozgłosił się jego niegodziwy postępek, a przy nim wiele innych i sprowadził mu słuszną pogardę wszystkich; nikt od tego czasu nie chciał mieć z nim do czynienia, a on, udęczony bardziej zmniejszeniem swego majątku, jak doznana wzgardą, zamknął się w domu z rozpaczą i nie ukazywał pomiędzy ludźmi. Był to początek dopiero sprawiedliwej kary. Synowie jego, młodzi jeszcze, ale dość już mający przebiegłości ojca, zdawali się, że go potrafią zastąpić w dalszym prowadzeniu lichwiarzkiego handlu. Ostrożny jednakże ojciec nie oddał im całego majątku, ale każdemu przeznaczył pewną sumę do robienia, jak nazywał, interesów, chcąc się przekonać, który z nich będzie zręczniejszym. Nadszedł czas do odebrania od nich rachunku i młodszy tak mu się źle sprawił, że rozgniewany na niego ojciec uderzył go łaską w głowę, tak, że skutkiem wstrząśnienia mózgu, został niedołężnym na umyśle, i nigdy już do niczego użytym być nie mógł; siedział tylko przy ojców i truł go swemi głupowatemi postępkami, lub niedorzeczną mową.

Syn starszy zupełnie dobrze zaczął robić interesy; oddał mu więc ojciec cały swój majątek do prowadzenia niegodziwego handlu. Lecz i ten z dopuszczenia Boskiego wkrótce stracił rozum i zapomniał przestrogi ojca; skoro się ujrzał panem tak wielu pieniędzy, chciał zawstydzić młodych swoich towarzyszy ogromnym majątkiem i wyprawił im ucztę wspaniałą.

Jak tylko ci próżniacy postrzegli u niego wiele pieniędzy, tak mu nadszkakiwali, tak pochlebiali jego próżności, że wkrótce częścią z nimi potracił, częścią rozpożyzył im, nie na zastawy, ale tylko na słowo, wszystkie pieniądze i w końcu nieporządnym życiem nabawił się nieuleczonej choroby. Struchlał ojciec, gdy się dowiedział o wszystkiém, wpadł w rozpacz i chcąc się zabić, wyskoczył oknem z pierwszego piętra.

Jednakże Bóg wszechmocony nie dopuścił, żeby się tak prędko skończyły przeznaczone na jego karę cierpienia; nie stracił więc życia, połamał tylko nogi i w najokropniejszym bólu przeniesiony został do szpitala, wraz z synem starszym, gdzie przez lat wiele obadwaj dręczyli się wzajemnymi swojemi wyrzekaniami; a udręczenia te pomnażał jeszcze syn młodszy, okryty łachmanami i żyjący o żebranym chlebie, przychodząc niekiedy prawie im o przeszłych dostatkach.

Tak srodze Pan Bóg karze za ludzką krzywdę! Dzieci! pamięjcie na sprawiedliwość Jego i zdrzyżycie na każdą myśl, któraby was podżegała do wyrządzenia jakiej krzywdy, lub nawet psoty innym ludziom.



## IX.

*Zbyteczne ubieganie się za bogactwami prowadzi do strat lub występku.*

Starać się o byt dobry, a nawet coraz lepszy, jest rzeczą chwalebną i konieczną; bo każdy człowiek, chociażby tylko sam dla siebie, powinien chcieć zapewnić sobie przyzwoite utrzymanie; coż dopiero kiedy ma obowiązki dla dzieci, albo w wieku podeszłych rodziców, którym dostarczać musi żywność i przyodziewek? Taki człowiek, gdyby opuścił ręce i wyglądał tylko zmiłowania Boskiego, lub pomocy innych, a sam nie pracował i nie starał się o własne i domowników swoich utrzymanie, byłby niegodziwym próżniakiem, ciężarem towarzystwa ludzkiego.

Ala zbyt znowu ubiegać się za dostatkami, chcieć koniecznie zostać bogatym, i ku temu obrócić wszystkie usiłowania swoje, jest również złą, a nawet gorszą jeszcze rzeczą. Żądza bogactw czyni bowiem człowieka niespokojnym, naraża na straty w wielkich,

a najczęściej źle wyrachowanych przedsięwzięciach, co zaś najgorsza, prowadzi do występków i nędzy.

Widzieliśmy jak niegodziwych środków chwycił się lichwiarz, żeby został bogatym, jak niszczył biednych i nieszczęśliwych, obrażał Boga i stawał się godnym pogardy ludzi, aleście nie poznali jego niespokojności i udręczeń przy wydawaniu każdego grosza, albo z obawy najmniejszej straty. Wolalby on był nie jeść, lub nago chodzić, jak kupić sobie chleba kawalek, albo sprawić suknię, a kiedy już głodu, lub zimna, albo upału wytrzymać nie mógł, z największym żalem rozstawał się z pieniądzem, za który miał nabyć łyżkę strawy, lub nowym zastąpić stary swój łachman. Nie spał on nigdy spokojnie, bo się lękał złodziei, żeby mu nie wydarli dóbr jego. Tak więc wśród bogactw był najędzniejszym, bo zawsze prawie był głodnym, źle odzianym, nigdy nie miał spokojności, w ciągłej zostawał obawie i udręczeniu. Znać koniec jego smutny; taki prawie zawsze spotyka podobnych ludzi; gdyż zbierom ich Pan Bóg pewno nie pobłogosławi; a jeżeli pozwala im dobrego powodzenia, niekiedy nawet i dosyć długo, to jedynie dla dania im czasu do poprawy, z czego jeśli nie korzystają, czeka ich tym większe ukaranie.

Wiérzcie, kochano dzieci, że mierna zamożność, osiągnięta uczciwą pracą, najwięcej przyczynia się do prawdziwego szczęścia. Im kto więcej pragnie, tym więcej mu brakuje, a kto przestaje na tém, co posiada, ten zawsze ma dosyć. Kto zbytecznie ubiega się

za dostatkami, ten, jeżeli nie wnijdzie na drogę występku, to pewno straci co miał i nie nabędzie tego, za czém się ubiegał. Znać może bajkę o psie, który przepływając strumień, trzymał kawał mięsa w pysku; gładka powierzchnia wody odbiła jego postać, czyli przejrzał się w wodzie, i zdawało mu się, że inny pies niesie lepszą sztukę mięsa: chciał mu ją wydrzeć, ale opuściwszy swoją, stracił ją i tamtej nie dostał. Podobnie często dzieje się ludziom lakomym i chciwym. Słuchajcie jaką naukę zostawił nam Arcey-Biskup Krasieki w następującej powieści.

#### PASTERZ I MORZE. (z Fedra).

Ponad skały i rzeczki.  
 Pędził pasterz owieczki.  
 Gdy zeszyły zorze,  
 A ujrzał morze:  
 Jak wspaniałe, dostojne,  
 Jak w zaciszu spokojne,  
 Jak się lśniły powodzie,  
 Blaskiem słońca przy wschodzie;  
 Zakochał się w żywiole;  
 Więc rzekł: płynąć ja wolę,  
 Niż się tulać po ziemi  
 Z owieczkami mojemi.  
 Przedał je więc i z stratą,  
 A za to,

Nakupował daktyłów, na okręt zgromadził,  
Płynął morzem, a gdy go wiatr przeciwny zdradził,

W złą chwilę,

Stracił okręt i daktyle.

Więc dać owiec nieborak, a gdy je past znowu,  
Zoczył morze: wspomniawszy na korzyść z *ostrawu*

Rzekł, kłaniając się nisko raz, drugi i trzeci:

Mówię to i z przysięgą powtarzam waszeci,

Bądź jeszcze pozorniejsze,

Bądź jeszcze spokojniejsze,

Lśnij się, jak chcesz, w pogodzie,

I w zachodzie i wschodzie,

Wiem ja o co tu chodzi!

Chciałoby się daktyłów?... nie uda się sztuka;

Panie morze! ostrożny, kto się raz oszuka!

Szczęśliwy, kto jeszcze z doświadczenia korzystać  
umie i błędy swoje naprawia; lecz iluż-to jest ludzi  
tak nierozsądnych i upartych, którzy niepowodzenia  
swoje przypisują nieszczęśliwym wypadkom, i w na-  
dziei pomysłniejszych, powtarzają te same błędy, któ-  
re już nieraz drogo opłacili! Tacy ludzie zawsze będą  
nieszczęśliwi.

Z resztą, poco się tak skwapliwie ubiegać za bo-  
gactwami, kiedy one tu rzeczywistego szczęścia nie  
stanowią, a po śmierci na nic nam się już nie przyda-  
dą, i wtenczas czyto bogacz, czy nędzarz, razem  
obok siebie legną. Jeżeli więc kogo opanuje kiedy  
żądza zbogacenia się, niech sobie przypomni odpo-

wiedź skromnego jazgarza, jaką w bajce dał barwe-  
nie, dumnej z bogatych swych kolorów rybie.

## BARWENA I JAZGARZ.

Barwena, pyszna swą szatą,

W różne kolory bogata,

Widząc przy sobie, na stole kucharza,

O jednej barwie szarego jazgarza,

Nał się z biednego natrząsac

I na śmiałość jego dąsać.

Jazgarz w pokorze jój rzecze:

„Bogatszaś—temu nie przeczę;

Lecz, choć strojna twoja szata,

Kucharz cię wkrótce z mną pobrata,

I w tym samym łądli może,

Znajdziem wspólne nasze łoże.“

(Upominek dla dzieci T. 3).



Bogactwo często  
nie jest przyczyną  
nieśczęścia.

100 rok temu

X.

### *Bogactwa często są przyczyną nieśczęścia.*

Słyszeliście może nieraz wyrzekających na biedę, albo skarżących się na brak pieniędzy, i ztąd myślicie zapewne, że pieniądze są konieczne potrzebne do szczęścia. Byłaby to myśl bardzo fałszywa. Ci, co tak narzekają, są po większej części chciwi i nie-nasycony, albo próżniacy; ci, chociażby najwięcej mieli pieniędzy, nigdy szczęśliwi nie będą, bo im wszystko jest za mało. Kto kupić musi każdy kawałek chleba, każdą łyżkę stawy, każdy płatek do okrycia swego ciała, ten potrzebuje pieniędzy, ale i to tyle tylko, ile utrzymanie życia wymaga. Inna jest rzecz z rolnikiem; temu chleb, strawę i połowę jego przydziewku daje rola, resztę dostarcza mu owca, okrasę ma z wie-prza, nabiał od krowy, na sól tylko i bardzo mało innych potrzeb mieć musi trochę pieniędzy, których łatwo dostanie w zamian za zbywające od jego potrzeb przedmioty. Tak więc rolnik nad zdrowie i chęć

do pracy, nic więcej nie potrzebuje: te dwie rzeczy bogactwo jego stanowią. Jeżeli pragnie pieniędzy i te nabywa sposobem niegodziwym, pewnie nieśczęściem sobie gotuje. W stanie waszym bogactwa losem nawet i byto, najczęściej są przyczyną nieśczęścia.

W jednym z miast w Kujawach, nad Wisłą położonem, było małżeństwo, utrzymujące się z wyrobku. Mąż najmował się do noszenia zboża na śpichrze, do rąbania drzewa i tym podobnych posług; żona chodziła do prania, kopania w ogrodach i gdziekolwiek jej zapotrzebowano. Robili dobrze i chętnie, zawsze więc mieli zatrudnienie, a przy rządnej żyćiu, zarobek ich pracy wystarczał na wszystkie ich potrzeby; mieli nawet mały zapasik na przypadek choroby, lub gdyby im kiedy zabrakło roboty; i byli szczęśliwi. Razu jednego, żona kopiąc w ogrodzie, trafiła na coś twardego; myślała, że to był kamień i chciała go wydobyć; lecz jakież było jej zadziwienie, kiedy zamiast kamienia, spostrzegła garnek miedziany; domyśliła się zaraz, że w nim muszą być pieniądze, nieznaemie więc zostawiła go w miejscu, tak, że inni, co także pracowali w ogrodzie, wcale nie dostrzegli tego, co robiła. W nocy przyszła z mężem, i rzeczywiście znaleźli pieniądze.

Teraz będziemy szczęśliwi! mówił mąż do żony, nie będziemy potrzebowali tak ciężko pracować i żyć możemy daleko wygodniej jak dotąd. Z początku jednak musimy być ostrożni, a nawet trzeba by nam opuścić miasto, bo to widzisz, połowę pieniędzy ka-

zanoby nam oddać właścicielowi ogrodu, a kto wie, możeby nam i waszyskie zabrano.— Lecz ich ostrożność była tylko w mowie. Wnet coraz bardziej zaczęli odmawiać tym, którzy ich nająć chcieli i uwierzano, iż teraz mniej pracują jak dawniej, a lepiej żyją i lepiej się ubierają. W tym właśnie czasie popelnioną została w okolicy znaczna kradzież; całe miasto miało na nich podejrzenie, że są jej sprawcami, albo przynajmniej do niej należą. Doniosło się to do okradzionego, a ten zapozwał ich przed Sąd. Otóż i po szczęściu! Zamknięci o nędznej strawie, każde osobno, długo byli badani i wiele wycierpieli; nie przyznali się jednak do niczego, i niczem ich o kradzież nie było można przekonać; zostali więc wypuszczeni wybledli i znędzniiali, jak ostatni żebracy; lecz nie tu koniec ich nieszczęścia.

Jak tylko odzyskali siły, przenieśli się zaraz do innego miasta, i tam chcąc żyć bez pracy, założyli sobie handel wiktuałów. Nie wiódł się im handel, bo się na nim nie znali; lecz że mieli pieniądze, żyli więc bez kłopotu, nie oglądając się na przyszłość. Niedługo jednak trwały te gody; zabrakło pieniędzy, zjadły się wiktuały, robić się zapomniało, praca była teraz zbyt utrudzającą, nastąpiło udrożenie i zgryzota, potem choroba i śmierć w największej nędzy.

Takich przykładów bardzo wiele napotkacie w swém życiu; starajcie się z nich korzystać i nie pragnijcie nigdy więcej nad to, co własną pracą zarobić potraficie, lub co uczciwym sposobem zyskacie. To

wam będzie najmiłszem, bo wam nie zakłuci sumienia i nie zatruje życia. Gdyby ci małżonkowie, którzy przygodę wam opowiedziałem, byli donieśli miejscowej władzy, że znaleźli pieniądze, byłiby się stali prawnymi właścicielami ich części, nie potrzebowaliby skrywać się z tém, co by im przyznano, i gdyby umieli użyć tego, czém ich Pan Bóg opatrzył, byłiby mogli być rzeczywiście szczęśliwemi.

Że to jest najmiłsze, co się własną pracą zarobi, tego nas uczy i następująca bajka:

#### Papuga i Kura.

„Jakaś ty biedna istota!”

Rzekła papuga do kury.

„Nim ziarno wygrzebiez z błota,  
Krwia ci zachodzą pazury.”

— „Ja bardziej żałuję ciebie.”

Kura jej na to odpowie,

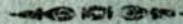
„Ziarno, co sobie wygrzebie,

Więcej mi idzie na zdrowie,

Niż tobie cukry, ciasta, paszteciki,

Które masz z laski, lub za nędzne krzyki.”

(Upominek dla dzieci, T. 2).



## XI.

*Praca i oszczędność nie dopuszczają nędzy*

Przy pracy i oszczędności człowiek w żaden sposób nie może przyjść do nędzy, to jest: do takiego stanu, w którym nie mógłby się wyżywić i przydziacić praca dostarczy mu sposobów utrzymania licznój nawet rodziny; albowiem każda praca, czyto na usługi innych leżona, czy poniesiona okolo roli, albo warsztatu, ma swoje wynagrodzenie, wystarczające na potrzeby nasze, jeżeli tylko wynagrodzenia tego nie smarujemy na pijaństwo, albo nierządem. Jeden z przyjaciół dzieci, piękna podał wam w tej mierze naukę w następujących powieściach:

## CZŁOWIEK I GNIAZDO PTASIE.

Opuszczony od losu, wśród nieszczęść kolei,  
Zamożny niegdyś człowiek został bez nadziei,  
Wokolo bezsilnemi otoczony dziećmi,  
Na każde ich wspomnienie zaléwał się łzami.  
Nieraz w smutnych o przyszłość myślach zatopiony,  
Szukał ulgi na łonie ukochoanej żony;  
Ale go wszędzie myśli dościgały srogie:  
W cóż się teraz obróćą nasze dzieci-drogie?  
Zapomniał, że Opatrzność ma w pieczy człowieka,  
Zuchwały, obowiązków najświętszych się zrzeka,

I jakby nie mógł złemu zaradzić inaczej,  
Zonę, dzieci, opuścić zamierzył z rozpaczą.  
Pozorem polowania barwi myśl zdziczałą,  
Porzuca lubą żonę z liczną dźwiatwą małą,  
Biegnie strzelbę na ramię, psa nawet zostawia,  
Nie chcąc, by i pies wierny był świadkiem bezprawia.  
Ale jakaż zapora utrzyma kasztana?  
Uprzedza krok niebezpieczny stroskanego pana,  
Bieży, i nikt go w pędzie zatrzymać nie zdoła:  
Na wszystkie zbacza strony, wietrzy do okola,  
To w szybkim pędzi cwałem, to zwalnia krok czasem,  
Naroszcie się zatrzymał, przy krzaczku, pod lasem.  
Wydaje głos radośny, wznosi w górę głowę,  
Pan, zdjęty ciekawością, dąży w miejsce owe;  
Widzi dwanaście piskląt, a zgłodniałe dziatki  
Odbierają posiłek od starannej matki.  
Tę matką, małe, słabe, bezrozumne ptaszę,  
Jakże to, rzekł zawstydzona nietroskliwość naszę!  
Toż ptak, tulacz wieczysty, nie sieje, nie orze,  
A tyle razem dzieci sam wyżywić może?  
Dla mnie zaś, którym rozum otrzymał w podziale,  
Sześcioro dzieci za wiele!  
Siłą, przemyślem obdarzon sownie,  
Śmiem, zaslepion rozpaczą, rzucić dzieci skrycie?  
Ach Boże! w tém zrządzenie widzę Twojej ręki,  
Tyś mi dal błąd mój poznać, przebac, przyjmij dzięki.  
Wesół wrócił do domu, usiłność podwoił,  
Przeciw pociskom losu w męstwo się uzbroid;

Całą siłą gorliwie wspierał przedsięwzięcie,  
I ojcowskić dopełnił powinności święcie.

*Stan. Jachowicz.*

Ojciec wystawiony w tej powieści pracował. Był człowiekiem zamożnym, to jest: miał wszystkiego pod dostatkiem, ale spotkały go różne nieszczęścia, których Pan Bóg często dopuszcza na człowieka, dla jego doświadczenia. Przez nieszczęśliwe wypadki ojciec ten stracił majątek, a z nim i nadzieję, żeby dzieci swoje mógł wyżywić; zapomniał o Boskiej Opatrzności, poddał się rozpacz i powziął myśl straszliwą i występłą opuszczenia żony i dzieci. Byłby popełnił grzech wielki i dzieci swoje w prawdziwej zostawił nędzy, ale Bóg litościwy cudownym sposobem zaprowadził go do gniazda, wtenczas, kiedy mała ptaszyna karmiła swe dzieci. Ten widok zawstydzil go i natchnął myślą rozsądną; poznał on swoją słabość i żałował nad występkiem, który w rozpacz chciał popełnić; wrócił więc do domu, podwoił pracę i usiłowania, i na nowo się dorobił.

#### WIEŚNIAK.

Biedny wieśniak, rozliczne wytrwawszy przypadki,  
Rzekł: jaby'm tylko pragnął lichój jakiej chatki,  
Krowy, owieczki i szkapiny staręj;

Spotkały go te dary.

Nasz wieśniak już szczęśliwy. Któż bardziej być może

Wkrótce kradną mu owce: woła Twoja Boże,  
Mam jeszcze, mówił, chatkę, kobyłkę i krowę.

Ależ nieszczęście spotyka go nowe:  
Ginie krowka, i pada klaczka wynędzniała,  
Lepianka tylko została.

Ten co próżno za szczęściem od tak dawna gonił,  
Łzy nie uronił.

Raz z rana niespodzianie, wchodzi podstarość,  
I w imieniu dziedzica żąda zaległości;

Odwieczne wspomina długi,  
Nawet każe mu płacić, co był winien drugi:

Jakiś tam czynsz, daniny, podatki;  
A że nie miał pieniędzy, wypędza go z chatki.  
Płaczą dobrzy sąsiedzi nad losem sąsiada.  
Nie, rzecz, ten nie zginął, kto zdrowie posiada;  
Bądźcie o mnie spokojni, mam jeszcze dość siły,  
O, pożyczcie mi tylko siekiery i pily.

Poszedł więc na zarobek do pobliskiej wioski,  
Pracował i oszczędzał. Przy pomocy Boskiej  
Niezadługo założył gospodarstwo nowe;  
Znowu ma owce, konia, chalupkę i krowę.

*St. Jachowicz.*

Tak i wy, kochane dzieci, w każdym nieszczęściu,  
które kiedykolwiek Bóg na was dopuści, nie upadajcie na siłach, ale pracujcie szczerze, oszczędzajcie grosz zapracowany, a w każdej potrzebie, nie tylko zaradzić sobie potraficie, ale nawet doczekacie się lepszego powodzenia.

## XII.

*Lenistwo jest przyczyną ubóstwa.*

Jak praca i oszczędność chronią człowieka od nędzy, jak wiele wpływają na spokojność jego sumienia, i dotkniętego nieszczęściem godzą z sobą samym, zachęcają do życia, i dostarczają środków utrzymania go; tak lenistwo sprowadza niedostatek i nędzę, zatruwa niepokojem życie człowieka i czyni mu je nieznośnym. Praca jest tyle pożyteczna i zbawienna, ile lenistwo złém i szkodliwém; żeby więc uchronić się od lenistwa, potrzeba koniecznie zamilować pracę. Jak nagannie jest opuścić ręce i nawyknąć do próżniactwa, okaże wam to w następującej powieści.

Jan był synem zamożnych rodziców, pieszczony od matki, rzadko kiedy polajany przez ojca, trwonił dni na zabawkach, nie uczył się niczego i wtenczas, kiedy jego rówiennicy szli do szkoły, lub w pole, on się bawił fraszkami, często szkodliwych nawet szukając rozrywek, bo darł się na drzewo i oblamywał piękne jego gałązki, któremi popędzał kota, powiązawszy mu nogi; to znowu wyszukiwał gniazdka niewinnych ptaszek, i psuł w jednej chwili te ich siedziby, nad budowaniem których pracowały biedne tak dłu-

go! a kiedy mu i tego zabrakło, garzał się po piasku, i brodził odzienie, albo rzucał kamyczki za przechodzącymi.

Tą ostatnią właśnie był zajęty psotą, kiedy mimo jego przechodził do szkoły Wojtuś, syn ubożego kmi... najstarszy z kilkorga dzieci poczciwej i pracowitej rodziny. Biegł prędko z książką pod pachą, bo pilna robota w domu zatrzymała go nieco, a już czas był do szkoły, nie zważał więc na próżniaka; ale gdy też za nim upadł kamyczek psotnego Jasia i potoczywszy się naprzód, uderzył go w nogę; spojrział Wojtuś poza siebie, zatrzymał się i rzekł do próżniactego chłopea:

„Oj źle robisz Jasiu, możesz kogo skalęczyć i być za to ukaranym; lepiej poszedłbyś do szkoły.“ — Jaś rozśmiał się szydersko i odpowiedział:

„A ja po co mam chodzić do szkoły, alboż ja taki biedny, żebym się potrzebował uczyć?“

Wojtuś trochę zawstydzony tym niesprawiedliwym wyrzutem, i trochę smutny, poszedł w swą stronę, bo Wojtuś miał dobre serce i żal mu było, że również jego był próżniakiem i złośliwym. Odbiwszy naukę, skromnie tą samą drogą wracał do domu i przechodził znowu mimo Jasia, który się bujał, uczepliwszy za gałąź drzewa i sam do niego pierwszy się odezwał:

— Już idziesz ze szkoły? zabaw się teraz ze mną.

— O! ja biedny! próżnować nie mogę.

— A cóż będziesz robił?

— Będę pomagał matce pluć len w polu; jak to

skończymy, uczyć będę na książce moich młodszych braci, a wieczorem popiję uję i uspię moją malutką siostrę, odpowiedział Wojtuś.

— A ja teraz pójdę się najęść, potem znowu będę biegł i chuchał się, rzekł Jaś, puszczać galęz i dawać miinę, że pracować nie potrzebuje.

— Na podobnych pustotach i próżniactwie zesłał Jaśowi dni wiele, tak wiele, że się skończyły jego dziecinne lata; wyrosł na młodzieńca, ale cóż z tego, kiedy niestety! zawsze bezużytecznym był próżniakiem, a co gorsza, już teraz nietylko czas, ale i pieniądze tracił marnie; po jarmarkach nabywał fiaski i przepłacał, kupował łakocie, zjadał to, bez czego się mógł obejść; a gdy mu już zabrakło na zbytki, wracał do domu, żeby znowu co wyludzić z dobrowolnych rodziców. Późno już, ale pomiarkowali oni, że nie tak pozwalać synowi; martwił się ojciec, smuciła się matka; zaczęli mu mówić, że już starzy, że mógłby ich wyręczać, zastępować w gospodarstwie. — O! nie frasujcie się, wystarczy nam to, co mamy, odpowiadał leniwiec, wynosił grosze i żył po swojemu, jedząc i nie robiąc.

Tymczasem coraz mniej było zapasów, coraz starsi i wątłjsi rodzice. Wkrótce, po niedługiej chorobie, pomarli oboje; gospodarstwo zostało opuszczone, bo próżniak Jan nie chciał i nie umiał się niemi zajmować; tulał się tylko jak dawniej, a gdy w domu coraz ubywało i w spiżarni i w oborze, bo on zjadał i wynosił wiele, nie nie przysparzając na jutro; kiedy

wreszcie zabrakło tego i owego, Jan zaczął pożyczać od ludzi na dom, na rolę i wkrótce tak je obdużył, że w końcu sprzedali mu wszystko, a on został w tym ty. co, co miał na sobie, i tyle uniał jak wtenczas, kiedy się bawiał w piasku, a już nie miał na co się obejrzeć, ani czego się chwycić. Mógłże sobie dać podę próżniactwem zepsuty? Nie wziął się do pracy, bo jej nie znał i nic robić nie umiał; niby to więc po znajomości chodził od gospodarza do gospodarza, jakto nieszczęśliwy, oglądając się i przymawiając nawet, żeby mu kto lyszkę strawy podał. Raz i drugi zali jeść ludzie, ale więcej nie, bo im się sprzykrzył. Rozbywał go każdy radą, żeby się wziął do pracy; ale on wcale nie miał się ku temu; wyszedł na drogę, siedział pod drzewem, siedział tam długo, dokuczał mu głód i zimno, zamyslił się pierwszy raz w życiu nad sobą i zwiesił głowę zasmucony.

Ta samą drogą wracał z swojego pola, już nie Wojtuś, ale Wojciech, dobrze się mający gospodarz, który przed kilku już laty, ożenił się z poczciwą dziewczyną i swoją część od rodziców dołączywszy do jej roli i domku, przy ciągłej pracy miał się coraz lepiej; nie od drugich nie potrzebował darmo, mógł owszem wspierać prawdziwie nieszczęśliwych i był szanowanym od wszystkich uczciwych ludzi. Spoznał on Jana, stanął więc i zapytał go o przyczynę smutku. Ów dumny próżniak, pokorniejszy już teraz, odpowiedział mu szczerze swoje przygody, albo raczej swoją winę. Tak blisko siebie żyjąc, rzekł na to Woj-

ciech, wiedziałem już co cię spotkało; wiedziałem, ale myślałem, żeś jeszcze taki jak wtenczas, kiedy nie znałem, że i bogaty zostać może ubogim. Jednakże, kiedy otwarcie i szczerze przyznajesz się do winy, widzę, że jeszcze jest lekarstwo dla ciebie. Ty wiesz, że nie lubię próżniaków, popraw się więc, zacznij pracować, a przy mnie będziesz przynajmniej miał co jeść i w czym chodzić. Nauczony doświadczeniem, przekonałeś się już zapewne, że lenistwo jest przyczyną ubóstwa, przyrzeczże mi więc, że będziesz pracował. „Będę“ odpowiedział upokorzony Jan i poszedł za dobrym Wojciechem. Ten cierpliwie uczył go roboty, żywił, przyodziewał i miał tę pociechę, że Jan stał się jeszcze pracowitym i porządnym człowiekiem.

Ale nie wszyscy, jak Jan, trafią na poczciwego Wojciecha — są ludzie, co przez próżniactwo, odarci i nędzni, przy żebractwie i głodzie wleką długo smutne życie, obudzając niechęć, zamiast politowania; bo tylko kalęka i starzec może bez wstydu rękę wyciągnąć po jałmużnę, ale źle spojrzeć, kiedy człowiek zdrow i młody chce żyć pracą drugich. Strzeżcie się tego dzieci, starajcie się sami wystarczyć sobie, pamiętajcie, że to nam najmiłsze, co mamy własną pracą nabyte; chroncie się lenistwa, a unikniecie ubóstwa; pracujcie, a żyć będziecie swobodnie.

## XIII.

*Sluga powinien być trzeźwym i poczciwym.*

Malo jest ludzi, którzyby służyć nie potrzebowali, gdyż najznakomitsi nawet panowie służą Monarsze i krajowi; ważną przeto jest wiadomość, jakim sługa być powinien, żeby sobie mógł zapewnić dobre powodzenie. U najgorszego nawet pana nie może być zupełnie źle służyć dobremu; gdyż każdy umie cenić to, co mu zysk przynosi; kiedy więc pan widzi, że sługa swoją trzeźwością i poczciwą służbą przysparza mu w domu, szanować go pewno będzie, mimo największej swęj złośliwości. Zły sługa, pijanica, złodziej, nie utrzyma się długo nawet przy najlepszym panu. Zeby zaś być dobrym sługą, potrzeba być koniecznie trzeźwym i poczciwym. Pijanica, przy najlepszych chęciach, dobrym sługą być nie może; gdyż w zalanęj trunkiem głowie wszystko mu się przewraca, sam nie wie co robi, nic też dobrze zrobić nie może, wiele czasu marnuje i przepiwszy własne, potem za cudze, a najczęściej za pańskie pijąc, staje się złodziejem. Poczciwy sługa pilnie wykonywa powierzoną sobie robotę, czuwa nad dobrem

swojego pana, jakby nad własnem, strzeże się wy-  
rzucić mu jaką szkodę, i nie dopuszcza, aby kto-  
kolwiek zrobił mu jaką krzywdę; nie da się uwieźdź  
żadnemi względami, żadnym datkiem, ale zawsze  
stara się okazać człowiekiem poczciwym. Sługa poc-  
ciwy nie korzysta z omyłki pana, nawet takiej, któ-  
rą pan nie mógłby dostrzedz, ale ją panu zaraz  
oznajmi i cieszy się, gdy w czémkolwiek przyczynić  
się może do pańskiego dobra. Taki sługa jest pra-  
wdziwym przyjacielem domu, zyskuje przywiązanie  
swojego pana, służy u niego długo, dzieli jego smu-  
tek i radość, liczy się prawie do rodziny, i ztąd do-  
broduszenie, często na dobytek i na rzeczy swojego  
pana mówi: „nasze“ a tym sposobem przestaje czuć  
przykrości służby. Zupełnie inaczej dzieje się słudze  
niegodziwemu. Temu wszędzie niedobrze, każdy go  
unika, a on ciągle nowęj służby i często o głodzie  
szukać musi; taki sługa, jeżeli nie skńczy w szpitalu  
albo w więzieniu, to pewno na starość żebrze kawał-  
ka chleba.

Przez kilka lat u jednego pana służył poczciwy  
Walenty, doglądał ogrodu i pola, chodził po spr-  
awunki do miasta, a żona jego posługiwała we dwa-  
rze. Lubił go pan, bo o jego poczciwości przekonał  
się dostatecznie, i raz wieczorem, wysyłając go z po-  
spiechem do miasta za sprawunkiem, dał mu przez  
nieuwagę między kilku złotemi dukata, (pieniądz złoty  
mający wartości 18 do 20 złp.) i Walenty nie uważał,  
gdy odbierał pieniądze, ale w mieście płacąc, poznał

pieniądz złoty, odłożył go i oddał panu za powro-  
tem do domu. On i za panem idąc, gdy ten sam ro-  
bił sprawunki, strzegł jeszcze, aby go zły człowiek  
nie oszukał, i zwracał jego uwagę na to, co lepiej ku-  
pć. Pan wyjeżdżając, czy to w gościnę, czy w dro-  
gę, brał z sobą Walentego, bo był pewnym jego sta-  
ranności, bo mu ufał. Raz na pogrzebie sąsiada, gdzie  
strapiona rodzina mniej uważała co się dzieje, i gdy,  
jak zwykle przy tak smutnym wypadku, dużo było  
roztargnienia w domu, rzekł pan. — „Weźcie mego  
Walentego do posługi, to poczciwy jest człowiek.“ —  
Skrętnie uwijał się Walenty, chcąc być tém więcej  
godnym pochwały pana. Po pogrzebie i po cbidzie  
wyszli goście do innego pokoju. Smutni, nie wiele co-  
jedli i nietknięte zostawili butelki. Domowa służba  
wzięła się do sprzątanja, dopomagał im Walenty,  
a oni tak zagadali do niego. — „Dalejże panie Walenty,  
kiedy nami dowodzisz, podzielże butelki dla siebie  
i dla nas, bo tu nikt się już o nie pytać nie będzie,  
a my podochocimy sobie.“ — „Ani wam ich nie dam,  
ani sobie nie wezmę,“ odpowiedział Walenty. Wstyd  
mię za was, i marketno mi, że tak o mnie myślicie.  
Wtenczas kiedy się goście wesolo bawią u mojego  
pana, ja chodzę do jego piwnicy, i miałbym sobie za-  
grzech, ulać kroplę trunku, albo wziąć nieprzezna-  
czonego dla mnie jedzenia, a wy, kiedy we łzach wa-  
sza pani i sieroty po panu, chcecie jeszcze ją krzy-  
wdzić i oszukiwać?“ — „Jaki lizus! odbłąkali zepsuci lu-  
dzie, zaczęli go wysmiewać, a Walenty tymczasem na



nich nie uważając, pochował wszystko i oddał klucze pani domu. Jak się sprawił, nie uszło to wiadomości jego pana i lubił go tém więcej, a Walenty zawsze był wierny i troskliwy o dobro swego pana; pod jego baczniem okiem nie wyniósł panu ani garsci zboża, ani snopka słomy z gumien.

Pocziwość Walentego głośną była w okolicy; nie jeden namawiał go do siebie, ofiarując mu daleko większe zasługi; ale on był więcej jeszcze, niż pocziwym sługą; on był przywiązany do swego pana, nie chciał go więc odstąpić choć dla większych zasług; bo miał dobrze i nie pragnął lepiej. Wtenczas nawet, kiedy pan jego przez smutne wypadki utracił majątek, i z wielu sług ledwo jednego i to bezżenne go mógł trzymać, Walenty, chociaż miał żonę i kilkoro dzieci, odstąpić go nie chciał. „Niech dzieci swoje, rzekł, służą innym, ja panu służyć będę i pomagać jak dotąd; dla żony wystarczy to, co sobie oszczędziłem.“ Uściskał go pan i zostawił przy sobie, dzielił się z nim jak mógł, a Walenty nie narzekał, choć mu nieraz skapo było, i ciągle chętnie pracował. Tak zeszło lat kilka, gdy w tém niespodziana spadła na pana successya. Wrócił on do majątku, do dóbr i miał ich więcej, jak przedtém. Sowiec też wynagrodził Walentego, dał mu gospodarstwo, na którem żył spokojnie; syn jego zastąpił potem ojca w usługach dobremu panu.

#### XIV.

##### *Pijaństwo staje się przyczyną nieszczęścia.*

„Hola, panie Macieju! a czemuż to nas mijacie?“ zataczając się, wołał pijany Bartłomiej na schodzącego z drogi Macieja: „zajrzyjcież przecie do karczmy kumoterku, mówil dalej, chwytając go za suknię; zabaw się z przyjaciółmi; wszakże to dziś poniedziałek.“ „Ja i w niedzielę nie mam na taką zabawę, odpowiedział Maciej, powracam z targu, i spieszę zajrzeć, co się dzieje w domu.“ — „Ba! ha! toć i ja mam dom, a nie spieszę się; przecież go nie porwą...“ bełkotał obrzydliwy pijak, i chwiejącym krokiem włócił się do karczmy w towarzystwie dwóch swoich kumotów. Zaczynał on pić w niedzielę, w poniedziałek klin klinem wybijał, to jest: pił na nowo, bo mu głowa ciężła i nie był zdatnym do roboty; wtorek przespał, albo przemarudził w domu, w środę i każdego dnia aż do niedzieli zachodził do karczmy, na pokrzepienie sił do pracy, i nieraz zapił się tam na dzień cały;

a gospodarstwo szło coraz gorzej, a do domu coraz większa bieda zaglądała. Nieczulym był na to Bartłomiej, i wesół zapijał do swoich kumów, częstował a płacił póki grosza stało, a jak zabrakło, pił na kredyt. Karczmarz usłużny kręcił się z kwaterką i kródką, dawał trunek, i dopisywał na ścianę, a biedna Bartłomiejowa, jak mogła tak nagradzała swą gospodarnością to, co mąż przez hultajstwo tracił.

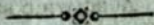
Raz, kiedy Bartłomiej rej wodził w karczmie, żona jego wbiegła z płaczem, wzywając go do domu, bo ich dziecko nagle zasłabło. „Przyjdę zaraz, jak tylko dopijemy tej miarki,“ odpowiedział Bartłomiej. Wyszła żona smutna, a on w gorzałce zatopił pamięć, że był potrzebnym w domu. Szykarzowi wódki zabrakło, nie było jej podówczas i we dworze, a pijak jeszcze niedolał miary; namawia więc kilku towarzyszy, żeby jechali z nim do wsi pobliskiej. Zaprzągają konie, i nie zważając na późny wieczór, jada wśród szalonej wesołości; ale zaledwie ujechali staj kilka, z niepewnych ręk lecce wypadły, wóz uderzył o kamień i wysypał pijaków. Głośne przed chwilą śmiechy i krzyki zamieniły się teraz w glucho jęki; ten się trzymał za bok i podnieść się nie mógł; tamten wstał, ale nie władał ręką; ten nogę wywiechnął, a Bartłomiej zranił sobie głowę. Szczęściem, że Maciej wracał z lasu z parobkiem, i udzielił im ratunku. Pomogli im wsieść na wóz, ale Bartłomieja włożyć nań musieli; stracił on przytomność, z głębokiej rany w głowie krew plużyła, rękę miał złamaną, i okrop-

nie jęczał. Lecz w domu jego przeraźliwszy był widok. Bartłomiejowa i jej dzieci zanosily się z płaczem. Gdy mąż jej długo nie powracał z karczmy, ona posłała do miasta po doktora; lecz nadszedł wieczór, a posłaniec nie wrócił, i syn jej skonał, jedynie dla braku ratunku; płakała więc i syna, płakała i na pijaństwo ojca. W tej chwili wniesiono potluczonego jej męża. Tu już rozpacz żony, płacz dzieci, ponury smutek obecnych, nie jest do opisanania.

Pół roku przeleżał nieszczęśliwy Bartłomiej, a gdy wstał z łóżka, blady, słaby, wycieńczony chorobą i kaleka, zastał gospodarstwo w najnudniejszym stanie. Żona ratując go, musiała prawie wszystko wynieść z domu i wyprowadzić z obory. Zima była już blisko, dzieci odarte, żadnych zapasów. Zapłakał, ale cóż to pomogło? chciał pracować, lecz nie miał siły i ręki do pracy. Żona więc sama biędziła się jak mogła i żyli nędznie, a niedawno byli najzamożniejszemi z wsi całej! bo nie zawsze był takim Bartłomiej; on dawniej rzadny i staranny chętnie pracował; ale raz i drugi wciągnięty w złe towarzystwo, zasmakował w trującym napoju, nawykł do niego, i już nie mógł obejść się bez wódki. W takim stanie wszystko mu teraz przypominało jego winę i dręczyło wyrzutem, że jest przyczyną swego kalectwa i nędzy całego domu. Myślicie zapewne, że się wyrzekł pijaństwa? O! nie. Gdy wódka przepali wnątrzości, można jeść przestać, ale przestać pić niepodobna. Wielu co się dopięro do kieliszka wprawiać zaczęli,

naučení jego nieszczęściem, uciekali przed wódką, ale on, jak pił dawniej ze zbytku, tak potem pił z rozpaczy; przepił resztę, pił potem wyżebrany kieliszek i skończył pod płotem, a żona i dzieci poszły w służbę.

Zadrzyjcie na ten obraz pijaka i unikajcie pijactwa! Pamiętajcie, że udzielonych nam od Boga darów w miarę tylko używać można bezkarnie. Nie zapominajcie, że człowiek na obraz Boga stworzony, poniża siebie i staje się niedołężnym, gdy mu pijactwo odbierze rozum; że przy niem marnuje czas, mienie i zdrowie; że pijaka unikają i gardzą nim ludzie trzeźwi i uczciwi.



## XV.

### *Kłamstwo jest niebezpieczną wadą.*

Wielu młodych ludzi, nawykwszy do kłamstwa od dzieciństwa, robią sobie z niego prawie igraszkę, nie przewidując jego skutków. Wada ta na pozór nie zdaje się tak szkodliwą, jak jest w istocie, bo kłamstwo częstokroć bawiąc z początku, później dopiero sprowadza cierpienia lub nieszczęścia; jak owemu chłopcu, co dla zabawy zwodził drugich wołając, że mu wilk porwał owcę; śmiał się on z przyzywających mu na ratunek; lecz gdy rzeczywiście wpadł wilk pomiędzy jego owce, nikt już nie uwierzył jego wołaniom i wilk narobił mu szkody. Kłamstwem-to nie jeden osłaniając swe czyny niegodziwe, albo tylko płocze, brnie coraz dalej, tak, że już potem nie ma dla niego ratunku; gdyby się zaraz z początku był przyznał do winy, byłby mógł być jeszcze poprawionym. Nienapróżno napomina stare przysłowie: „Bogiem a prawdą,” bo kłamstwo wielu już nieszczęść

byłe przyczyną; kłamstwem, jak wiecie, szatan pod postacią węża zwiódł Ewę w raju, namówił ją do nieposłuszeństwa i przez to kłamstwo spadła kara na cały ród ludzki. Kłamstwem zwodząc jedni drugich, częstokroć wiele sprowadzają złego. Kłamca gorszym być może od złodzieja, bo ten zabiera tylko majątek, a kłamca częstokroć pozbawia innych dobrego imienia, wydziera im spokojność i szczęście. Strzeżcie się kłamcy, i sami chroncie się kłamstwa, jeżeli chcecie żyć spokojnie na świecie. Kłamstwo nie tylko w dalszym życiu człowieka, lecz szkodliwym jest i dla dzieci. Przekonacie się o tym z następującego zdarzenia.

Pewna mała dziewczynka, niezmiernie łakoma, często sprzątała w domu jedzenia, przeznaczone dla kogo innego, lub na później schowane, i różne inne wyrządzała psoty, a swoim kłamstwem zawsze składała winę na domowników. Choć ci nieraz wykrywali niewinność swoją, ona uporeczywie wypierała się swych niedobrych sprawek. Jednego dnia wszyscy wyszli z domu, sama tylko Magdzia została; zaraz też wzięła się do szperania po kątach, czy nie znajdzie czego; wszystko było pochowane; ale na wysokości szafki dostrzegła miseczkę. Pewna obłowna, przyciągnęła mały stolik, a na ten postawiła jeszcze stółek i dosięgła miseczki, na której, z wielką radością, znalazła tłuczony cukier; zjadła go blisko połowę, resztę zaś, czyto z obawy, żeby nie poznano, czy też na drugi raz sobie zostawiła. Lecz zaledwo zesła,

uczula nudności i ból gwałtowny w żołądku. plakała i nie wiedziała sobie rady. Nadeszli rodzice i pytali jej czy nie jadła czego. Dziewczyna nie myśląc, żeby jej cukier mógł co szkodzić, kłamała uporeczywie, że nie jadła. Ból wzrósł się coraz bardziej, a rodzice mniemając, że dostała kurczu żołądka, leczyli ją przeciwnymi środkami, i jeszcze więcej tym jej szkodzili. Zaczem przybył Lekarz. Magdzia leżała już jak nieżywa. Nie uwierzył on dziewczynie, dał jej na wymioty i poznał, że zjadła truciznę. Tu dopiero rodzice przypomnieli sobie o truciznie na muchy, będącej na szafie i zadrzeli. Uraowano wprawdzie dziewczynkę, ale opłaciła ona srogo swoje kłamstwo; bo już nigdy do dawnego zdrowia nie wróciła. Niebyłoby to nastąpiło, gdyby się zaraz była przyznała do winy. Prócz tego, nie wierzono jej podobnie, jak temu chłopczykowi co *plywał bez wody*, bo zwykle kłamcy zawsze źle wychodzą.

## PLYWANIE BEZ WODY.

(Powiastka).

Wcałe rzecz nieosobliwa,  
Kiedy kto bez wody pływa.  
Mateuszek potrafi i sztuka,  
Dzieci! mieć z niego będziecie naukę;  
Pływać bez wody jest to kłamać gładko.  
Ten chłopczyk też powiedział prawdy i przed matką.

Kiedy co zbroił,  
Zaraz to przystroił,  
Odmienil, wykręcił,

I prawdę kłamstwu poświęcił.

Niedobrze na tém wyszedł. powszechnie tak bywa!

Ledwie usta otworzył, każdy wołał: pływaj!

Zaklina się na ojca i matkę chłopczyzna,

A wszyscy: teraz kłamać najlepiej zaczyna!

Gnięwa się, płacze, a każdy się śmieje.

Tak się zwykle kłamcom dzieje.

*St. Jachowicz.*



## XVI.

*Dobre wychowanie wstrzymuje od złego.*

„Czém skorupka nasiąknie z młodu, tém na starość traci.“ Bardzo trafnie to przysłowie zastosować się daje do ludzi, bo jak kto nauczy się w młodości, tak postępuje przez całe swoje życie; do czego raz nawyknie, bez tego trudno mu się obejść; dlatego téż człowiek, wychowany podług zasad religii i moralności, chociażby się dostał pomiędzy ludzi złych i zepsutych, nie ulegnie złemu, a przynajmniej nie tak łatwo jak ten, którego wychowanie było zaniedbaném; i nawzajem, człowiekowi złych nałogów trudno się poprawić w najlepszym towarzystwie.

W mieście Radomiu żyła poczciwa wdowa po rzemieślniku, która wszystkie swą pracę i staranie poświęcała wychowaniu dwojga swych dzieci, syna i córki. Posyłała ich do szkoły, gdzie jak wy, uczyli się czytać, pisać, rachować i wielu potrzebnych w życiu ludzkim wiadomości, a gdy powrócili do domu, przy-

zwyczajala ich do pracy, i wprawiala do różnych robot. Franuś i Antosia nigdy nie próżnowali. Franuś, albo w ogródku pomagał matce, albo w domu podawał jej wszystko do ręki, odnosił wykonane szycie, chodził zasprawunkami, i wody naniósł, i drewek nałupał, i rozprutą suknią zszyl sobie; słowem: wielkiem był matce wyręczeniem. Podobnie Antosia, nieco młodsza, robiła to pończochy dla matki i dla brata, to szyla co łatwiejszego i ledwo na chwilę wybiegała poskakać przy matce, popatrzeć na brata pracującego w ogródku, lub robiącego co w domu. Matka spokojną była o przyszłość swych dzieci, bo widziała ich chęć i nawyknięcie do pracy, a każąc im powtarzać to, czego się uczyli w szkole, z rozkoszą uważała, iż umieją rozróżniać dobre od złego, i jak wiele okazywali zamiłowania w dobrem, tyle czuli wstrętu od złego. Dziękowała Panu Bogu, że pobłogosławił jej pracy i często powtarzała dzieciom: — „Moje dzieci, kochajcie się zawsze tak, jak teraz, bądźcie pobożni, cnotliwi i uczynni, a Bóg wam błogosławić będzie.“

Wtém cichém, bogobojném życiu, schodzily im lata. Już Franuś liczył rok osmnasty, Antosia szesnasty kończyła. Matka patrzyła na nich z pociechą, i latwiej jej teraz było przy ich pomocy. Franuś wyuczył się rzemiosła ojca, stolarcki, Antosia trudniła się szyciem; żyli skromnie, ale im na niczém nie zbywało. Często młode przyjaciółki Antosi przychodziły ją wabić na wieczór, lub zabawę; ale ona zawsze odmawia-

ła im grzecznie i bez matki wyjść nigdy nie chciała. To podobnież kłedy Franciszka, spotkawszy się z nim czy-to na ulicy, czy gdziebądź, zachwalałi mu swoje rozrywki; ale on ich unikał, spieszył do pracy; spieszył do matki, do siostry i tylko ta przyjemność, którą z nęmi dzielił, miłą mu była.

Spokojne jednak życie tej cnotliwej rodziny, przewalał smutek, niezawisły od woli człowieka; smutek ten sprawiła choroba matki. Dniem i nocą czuwała nad nią Antonina, uprzedzała najmniejszo jej skinienie, i Franciszek szukał wszystkich środków ratowania matki, starał się o lekarza i choje robili wszystko, co ten przepisał, ale bezskutecznie; bo inaczej podobalo się Bogu; powołał On do swjej chwały ich matkę. Śmierć jej była tak łagodna, jak całe życie; ostatniem żądaniem wezwala szanownego kapłana, przed którym niesprawiedliwila się Najwyższemu Panu; pobłogosławiła płaczące dzieci, zaleciła im raz jeszcze, iżby rad jej słuchali, i prosiła, ażeby miarkowali żal i zgodzili się z wolą Boską, która jej nie pozwala żyć dłużej z niemi.

Strapieni śmiercią matki, wrócili do swych zatrudnień, które przerwali w czasie jej choroby, i staranniej jeszcze unikałi nieprzyzwoytych zabaw młodzieży, która ich jeszcze usilniej teraz wabiła do siebie. Ale Franciszek miał przyjaciela, którego towarzystwo najbardziej lubił, i z nim zwykle czas pozostały od pracy spędzał. Jednej niedzieli poszli obadwaj za miasto na przechadzkę; lecz godzina zwykłego ich powrotu

dawno minęła, a ich jeszcze nie było. Antosia niecierpliwie czekała brata; biedna, lękała się jakiego nieszczęścia, bo już było z północy, a brat jeszcze nie powrócił! Około drugiej dopiero przyszedł do domu; był zmęczony, włosy i suknie miał w nieładzie. Przerażona siostra, nie śmiała wymówić słowa; a on zaledwie wszedł, rzucił się na stół i mocno odetchnął. O! mój Boże! mówił potem, niech Ci będą dzięki nieskończone, żeś mię z ich sidła wybawił. Antosiu! ty nie uwierzysz może gdzie byłem; powiem ci wszystko. Udał się z Henrykiem, jak zwykle, za miasto, gdzie spotkali się Józefa garbarczyka; jest on w przyjaźni z Henrykiem, połączył się więc z nami i zaprosił nas na piwo: miałem pragnienie i poszedłem. Po dwóch szklankach, chciałem odejść, ale mię gwałtem zatrzymali; Henryk wpadł w wesoły humor, Józef opowiadał wiele zabawnych rzeczy; prędko więc czas uchodził, prędej jeszcze wypróżniały się butelki; wyszliśmy przecie, ale cóż z tego? Henryk pochwałił miodek u Marysi, Józefowi zaraz przyszła chętka na niego, a ja rozmarzony już piwem, łatwo się zgodziłem i poszliśmy na miód. Zastaliśmy tam zabawę: tańczyli, pili, krzyczeli, klócili się, żartowali nieprzyzwoicie, sprośnie nawet; wszystko to uderzyło mię razem; chciałem się wrócić, ale mię towarzysze moi zatrzymali, a Henryk szepnął. „Cóż to szkodzi! nabierzesz więcej odrazy od podobnych zabaw.“ Poszedłem dalej; przecisnęliśmy się do małej izdebki. Obstąpili nas zaraz znajomi, wieszowali sobie, że wszedłem w ich

kompanią, częstowali i oświadczali mi się z największą serdecznością, a ja, zachwycony ich towarzystwem, czyniłem sobie w duchu wyrzuty, że niesłusznie unikałem tak miłych ludzi. Przyłączyło się do nas kilka dziewcząt i bawiliśmy się jeszcze lepij. Wkrótce jednak odeszły do tańca, a z nimi Henryk, pozostałem z Józefem i dwoma innymi, bardzo wesołymi chłopcami. Zachwalali mi swoje życie i dziwił się, że ja tak samotnie żyć mogę; żalowali, że i ty nie uprzyjemiasz ich zabaw, obiecałem wprowadzić cię do nich, wymówiłem się tylko, że takie zabawy dużo kosztują, a my na to nie mamy. Rozśmiali się wszyscy i zaczęli mię uczyć, jakim-to sposobem można mieć pieniądze, jak oszukiwać majstra, wyludzać od zamawiających roboty, korzystać z każdej sposobności, chociaż z krzywdą eudzą. Chrzcili oni to wszystko pięknymi słówkami; zdrzałem jednakże na te szatańskie poszepty, i jak tylko upatrzyłem chwilę, uciekłem z tego piekielnego koła. Cień naszej matki wyprowadził mię z niego. O! moja siostro! już tam nigdy nie powrócę; ale co mię najbardziej boli! zdaje mi się, że to była namowa, że Henryk widząc, iż mu więcej nie chce pożyczać pieniędzy, umyślnie mię tam wprowadził, żeby mi je innym sposobem wyludził; grali tam i w karty, przy których widziałem go, jakem wychodził. O! Boże! dziękuję ci, że mi go dałeś poznać.— Franciszek dotrzymał słowa, nie wdał się nigdy z ludźmi płochymi, albo podejrzanymi, i pozostał zawsze uczciwym człowiekiem.

## XVII.

*Zły czyn nigdy się nie ukryje.*

Nic niema na świecie, co by się na zawsze ukryć mogło. Tę odwieczną prawdę codziennie tysiączne stwierdzają wypadki; stąd też poszły przysłowia: „oliwa zawsze na wierzch spłynie; szydła wyjdą z worka“ i t. p. Najostrożniej wykonanego złodziejstwa nie ukryją nocne ciemności; najrzęczniejsze podejście, najsztuczniejsze oszustwo wyda się prędzej czy później; gdy przed okiem Boskim nie się nie ukryje; Ono przenikła wszystko, widzi wszędzie, i nieraz cudownie objawia najskrytsze tajemnice, dla ukarania niegodziwego człowieka.

Wyrobnik jeden ubogi, idąc drogą, znalazł worek pieniędzy. Obejrzał się wkoło, i gdy nie spostrzegł nikogo, pomyślał sobie; nikt o tem nie będzie wiedział, mogę więc tych pieniędzy użyć na moje potrzeby. Przyszedszy do miasta, najadł się i napił za znalezione pieniądze i był bardzo kontent. Ale w tem słyzy obwo-

lujących, że zgubiono zostały pieniądze, że kto je znalazł, powinien je oddać do Magistratu, że tam otrzyma nagrodę. Tu dopiero przypomniał sobie, że się nie godzi zatrzymywać znalezionych nawet pieniędzy; zdrzał mimowolnie; odezwało się sumienie: oddaj, co nie twoje; ale nie poszedł za jego głosem, bo mu żal było rozstać się z tym skarbem, za który mógł dłużej używać, jak za wyznaczoną nagrodę. Jeszcze raz pomyślał sobie; nikt nie widział, nikt nie wie, będą pracował jak dotąd i żył oszczędnie, to mi i na dłużej wystarczy, i nigdy się z temi pieniędzmi nie wydam. Tak myśląc, nie spostrzegł, że już drugą kwartę pije; pił jeszcze i zdrzemnął się za sielem. Zły człowiek dostrzegł u niego pieniądze, a widząc, że drzémie sięgnął po nie do kieszeni. Widzieli to obecni, zrobił się chaos, odebrano złodziejowi pieniądze, a że wyrobnik nie umiał powiedzieć, skąd ma tak wiele pieniędzy, złożono je w Magistracie, gdzie zostały poznane, że te są te same, których właśnie poszukiwano. Wzięto obudwóch do więzienia, i chociaż nikt nie widział wyrobnika, gdy znalazł pieniądze, wykryła go sprawiedliwość Boska.

Inny miał sobie powierzony dozór nad gospodarstwem swojego pana. Na oko służył on mu wiernie, ale wczem tylko mógł, oszukiwał go tak zręcznie, że pan nigdy się na tem nie poznał. Razu jednego wysłany został do miasta po różne sprawunki; naku-pił wszystkiego w gorznych gatunkach, a część pieniędzy sobie zatrzymał. Tu dopiero pan się pomiar-



kował, i zaczął na niego dawać baczniejsze oko; wykrył jego wiele oszukaństw i oddał go pod sąd, który go skazał do więzienia, gdzie nędznie zakończył życie w zgrzyzotach i cierpieniu.

Lecz jak cudownemi drogami Pan Bóg wykrywa złe czyny, poznacie to jeszcze i z następującego zdarzenia. Pewien izraelita w księstwie Poznańskim miał syna i córkę. Syna wysłał w świat, dawszy mu trochę pieniędzy, a córkę wydał za mąż, za kupca z sąsiedniego miasta. W wiele lat potem przychodzi do niego w późny wieczór żyd podróżny i prosi o nocleg, gdyż w domu gościnnym nie chciał nocować u chrześcianina. Gospodarz dostrzegł u niego wiele pieniędzy, i wzięła go na nie ochota; cicho wstał w nocy, zabił podróżnego i schował go w piwnicy. Nazajutrz przyjeżdża córka tego gospodarza, i po chwili pyta się czy niema jakiego gościa u siebie, a gdy jej ojciec powiedział, że nie ma nikogo, przerażona wyznała, że brat jej powrócił z dalekich krajów, przywiózł wiele pieniędzy i umówił się z nią, że przyjdzie do ojca, nie dawszy mu się poznać, i że dopiero nazajutrz przy niej miał powiedzieć, kto jest. Zbladł izraelita poznawszy, że zabił własnego syna, ale się nie wydał, a dla lepszego udania, chodził po mieście z córką i wypytывał się, czy kto nic widział jego syna, ale na próżno; żadnego o nim nie mógł powziąć śladu, a każdy utrzymywał, że jaki niegodziwy człowiek zabił go zapewne. Na te słowa stary ojciec rwał sobie włosy z brody, przywdział śmiertelną koszulę i siadł na po-

piele, oplakując niewatpliwą śmierć swego syna. Przeszedł do niego rabin i kilku starszych synagogi, opowiadał im, jak syn chciał go doświadczyć, czy go ojciec pozna, i prosił ich, żeby go jeszcze poszukiwali; wtem się zapomniał i zaczął im go opisywać; ale rabin go zagadnął:—Jakto, ty syna nie widziałeś, a wiesz jak wyglądał?—Zalął się zbrodniarz, zaczął się nięszczać w tłumaczeniu i wreszcie wydał się ze wszystkiem.

Widzicie, że zły czyn nigdy się nie ukryje, odzywa się on do sumienia winowajcy, przemawia do każdego, jak dzwonek w bajce, który wydał kradzież kruka.

Posłuchajcie jakto było:

#### KRUK Z DZWONKIEM.

Nie jest to nowina żadną,  
Że kruki kradną;

Jednak i dla człowieka zda się ztąd nauka.  
Na pewnym dworze wychowano kruka:  
A pontaważ go wzięto, ledwo się urodził,  
Nie więziono go w klatkę, gdzie chciał, sobie chodził;  
Z pokoju do pokoju, bez żadnej przeszkody  
Przechadzał się kruzeczek młody;  
A że do kobiet zwykle igną ptaszęta,  
Najbardziej lubił wpaść między dziewczęta.  
Zawsze, „dzień dobry“ powiedział im zrana;

Odwiedzał jednak i pana,  
Przylatał czasem do dzieci,  
Czasem i na dwór wyleci,  
Biegnie w ogród dla polowu,  
I wraca znowu;

Wszędzie go pełno, wszędzie on się znęci,  
A wszędzie figla spleta, gdzie się tylko wkłęci.

Raz u panien igliczka gdzieś się zepodziała;  
 Lecz igliczka, to rzecz mała,  
 Na igliczce świat nie stoi,  
 Wkrótce o szkodzie zapomniano swojej;  
 Jakoś znów niezadługo służącej dziewczynie,  
 Naparstek ginie.  
 Dalej zginął pierścionek z drogiemi kamyczkami  
 I brylantowe kolczyki.  
 Tu dopiero harmider, dom się w piekło zmienia;  
 Pelno było domysłów, pelno podejrzenia;  
 A nikomu w myśl nie wpadnie,  
 Ze to młody kruczek kradzie.  
 Raz się ów panicz zbliżył do stolika,  
 Porywa srebrny dzwonek i przez okno zmyka.  
 Dzwoni... a na ten odgłos służący wybiega,  
 I na gorącym razie złodzieja spostrzega:  
 „A tuś mi! ty-to ptaszku takie płaszysz licha?”  
 Rzekł i tuż za złodziejem posuwa się cicho.  
 Idzie za głosem dzwonka kroki powolnemi,  
 Widzi, jak kruk nieznacznie spuszcza się ku ziemi,  
 Jak szuka miejsca tego, gdzie skarby posiada,  
 I do dawnych zdobyczy, nową zdobycz składa,  
 Jak się różnych błyskotek nasycę widokiem,  
 Jak zazdrośnie przed ludzkim ukrywa je okiem;  
 A gdy już ma ulecieć, zmieniać go chwyta.  
 Zawsze być musi zbrodnia przed światem odkryta.

*St. Jachowicz.*

## XVIII.

*Cudzą krzywdą nikt się nie dorobi.*

W jednej znacznej wsi pod Poznaniem był parobek imieniem Hilary, uważany za pracowitego i zaradnego człowieka. Od świtu do nocy biegał on około swojej, lub cudzej roboty, za swym lub cudzym sprawunkiem. Widać było u niego coraz lepszy ubiór, coraz więcej grosza. Mówili jedni: pracuje i dlatego ma się coraz lepiej; mówili znowu drudzy: on w cudzém ręku macza i dlatego wiedzie mu się teraz, ale to niedługo potrwa. Kiedy już osiadł na swoim, uchodził za dobrego gospodarza, ale słudzy narzekali, że mają wiele pracy, a mało strawy i odmieniali się często. Targu ani jarmarku żadnego nie opuścił; w swojej mniemaniej uczynności podejmował się cudzych sprawunków; zabierał też czasem korezyk sąsiada na sprzedaż, ale cóż z tego? kiedy cudzych kilka groszy zawsze się wemknęło do jego worka. Uchodziło mu to dosyć długo, bo, jak

mówią: „póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie;“ tak też Hilary żył krzywdą ludzką, z cudzego mienia urwanym groszem, a potakując i schlebiając tym, których oszukiwał, miał u nich wiarę; bo poczciwy nie posądza, wierzy, dopóki nie przekona się, że został oszukany. Miano go więc we wsi za człowieka uczciwego, chociaż niektórzy inaczej szepotali pomiędzy sobą.

W tej samej wsi mieszkała na gospodarstwie ciotka Hilarego, której jedyny syn służył w wojsku. Lecz gospodarstwo jej zaczęło upadać, bo na starość sama go naleźycie doglądać nie mogła, a obcy rzadko dojrzą jak potrzeba; sprzedawała je więc, a zaciągawszy pieniądze dla syna, najęła sobie mieszkanie i wyżywienie u swojej sąsiadki. Żyła spokojnie, oczekując syna, który po wojnie pisał do niej z Niemiec, że wkrótce powróci. Tymczasem upływał już rok, a syn nie powracał. Martwiła się staruszka i wreszcie zachorowała niebezpiecznie; uczuła się blizką zgonu — zakłopotana się o syna i o pieniądze, które dla niego chowała. Przypomniała sobie o Hilarym, jako jedynym najbliższym krewnym, kazała go przywołać do siebie i powierzyła mu pieniądze, zaklinając go na wszystko, iżby je oddał jej synowi, skoro powróci. Żądała nadto, żeby jej napisał list do syna z ostatnim pożegnaniem i zawiadomieniem go, ile pieniędzy zostawiła dla niego. Zrobił jak chciała obłudny Hilary i przyrzekł święcie dochować pieniądze dla jej syna. Odesłała list na pocztę, zapisany do miasta, z którego odebrała wiadomość od syna i umarła spokojnie.

W pół roku po jej śmierci, w mroźny dzień zimy, przyszedł do wsi człowiek w obcisłym wojskowym ubiorze, lichym żołnierskim płaszczem okryty. Był to Aleksander, syn ciotki Hilarego. Gorzko zapłakał, gdy się dowiedział o śmierci matki i sprzedaniu go podarstwa, na którym myślał spokojnie spędzić przy matce i pracy. Wskazano mu brata Hilarego, udał się więc do jego domu w nadziei, że tam znajdzie jakąkolwiek pociechę i radę. Ale Hilary, dowiedziawszy się od niego, że nie odebrał listu matki, utulił przeznaczone dla niego pieniądze, i naprowadził go na myśl, że matka otrzymane za gospodarstwo pieniądze zakopala pewno w ziemi. Nieszczęśliwy Aleksander kilka tylko dni zabawił u Hilarego, bo nie chcąc mu być ciężarem, postarał się o służbę.

Hilary zamiast mu być pomocą, unikał go, a nawet starał go się pozbyć ze wsi, klóćąc go to z gospodarzem jego, to z innymi, ale Aleksander był człowiek spokojny i rozsądny, zrećcznie więc unikał wszelkich nieporozumień, a Hilary stracił przez to resztę szacunku, jaki jeszcze miał u ludzi. Zaczęły go też spotykać różne utrapienia. Na jarmarkach i targach już mu się tak nie wiodło, jak dawniej. Najczęściej z czem złem powracał: to wóz się zlamal, to koń padł mu nagle, to wół nogę zwichnął i t. p. W polu niewiele plonu obiecywało zboże, gdyż było można policzyć puste jego kłosy, wtenczas, kiedy u sąsiadów bujnie wszystko rosło. Zazdrościł, kłął swoje nieszczęście, podwajał pracę, ale to nie pomogło, bo już

Bóg nie błogosławił. Bez zapasów zobaczył się na zimę; dużo już wydał pieniędzy, a jeszcze nie zaopatrzył ani komory, ani obory, w której reszta zneedźnialego stała bydła. Do tego wszystkiego przyłączyła się choroba jego dzieci i Hilary w krótkim czasie został najuboższym we wsi gospodarzem.

W rok po przyjściu Aleksandra, widziano chodzącego po wsi pocztowego posłańca, który dopytywał się o Maryannę Nowakową. Była to matka Aleksandra; do niego więc wskazano posłańcowi. Oddał mu list; był on do niego pisany od matki; lecz z powodu złego adresu odsyłany był z miejsca do miejsca, aż nareszcie został odpieczelony i zwrócony tam, skąd wyszedł. Z niego dowiedział się Aleksander o swoich pieniądzech, a dopisek Hilarego stwierdzał tę wiadomość. Aleksander udał się z tym listem do sądu, zapożyczając Hilarego o zwrot przywłaszczonych sobie pieniędzy; lecz ten wydawszy już połowę, musiał nie tylko oddać gospodarstwo Aleksandrowi, ale jeszcze skazany został na kilka lat do więzienia za oszustwo. Żona jego poszła w służbę, a dwoje dzieci Aleksander przyjął do siebie na wychowanie. Na to wyszła oszustowi cudza krzywda; gdyby się nie był łakomił na cudze i przestał na swoim, przy pracy i błogosławieństwie Boskiem, byłby mógł żyć szczęśliwie.

## XIX.

### *Cudzą własność szanować należy.*

Szanowanie cudzej własności, czyli cudzej rzeczy, jest podstawą prawego postępowania człowieka. Kto szanuje cudzą własność, ten nikomu żadnej krzywdy nie wyrządzi: sługa nie oszuka swego pana, nie nadużyje zaufania jego, nie zmarnuje żadnej jego rzeczy; podobnież pan, który umie szanować cudzą własność, nie skrzywdzi w niczem swego sługi, wypłaci mu rzetelnie umówione zasługi, da wyżywienie przyzwoite i pracą go nie przeciąży; bo wie, że zdrowie jest najszacowniejszą jego własnością; gdyby mu je więc odebrał zbyt ciężką pracą, dopuściłby się występku kradzieży. Sąsiad szanujący własność cudzą, nie worze się w pole sąsiada, nie wkradnie się do jego ogrodu, ani do komory, nie przywłaszcza sobie jego woła, albo konia, ani żadnej choćby najmniejszej cudzej rzeczy. Kto szanuje cudzą własność, ten się nie targnie na dobre imię bliźniego, nie obmówi go, nie zelży, ani w żaden sposób nie ubliży mu, bo dobre imię człowieka, jest większym jego skarbem, aniżeli nawet zdrowie. Tak więc, aby wieść życie uczciwe, dosyć jest umieć szanować cudzą własność, bo szanując ją, nie wyrządzymy nikomu żadnej krzywdy ani w majątku, ani na zdrowiu, ani na sławie.

Wartość cudzej własności znali przed wiekami ludzie nawet nieoświeceni nanką Zbawiciela świata. Przed narodzeniem Chrystusa przeszło na 550 lat, w dalekiej od nas stronie, żył człowiek, nazwiskiem Kambizes, który pojął za żonę córkę jednego króla, i dlatego starał się dać synowi swemu dobre wychowanie, ażeby, jeżeli kiedy zostanie królem, sprawiedliwie rządził narodem. Synowi temu było imię Cyrus. Razu jednego widząc go ojciec smutnym, zapytał go, co mu jest? Cyrus odpowiedział, iż został ukarany od nauczyciela za to, że źle osądził jedną sprawę. Będąc na przechadzce z nauczycielem, mówił dalej, spotkaliśmy dwóch chłopców, którzy sprzeczali się o swoje suknie. Roślejszy miał suknią ciasną i krótką, suknią zaś niższego była na niego zadługa i zaobszerna; chciał się z nim mieniać roślejszy, utrzymując, że to będzie dla niego dogodniej, ale młodszemu na to nie przystawał i wołał zostać przy swojej. Wyższy, jako mocniejszy, ścigał z niego suknią gwałtem, a przyrzucił mu swoją. Wtém zbliżyłem się do nich z nauczycielem, a oni prosili mnie, żebym osądził, która suknia do kogo należeć powinna. Rozumiejąc, że sprawiedliwie będzie, gdy każdy dostanie dogodniejszą dla siebie suknią, osądziłem, że roślejszy wziąć powinien suknią większą, a młodszemu przestać może na sukni mniejszej. Otóż za takie rozsądzenie ukarał mię nauczyciel.

Jakto? mówił ojciec, wszakże twój wyrok był słusznym, gdyż dogadzał obudwom; czyliż sukni mniej-

szęj nie mógł używać dogodniej chłopiec młodszemu, aniżeli zbyt wielkiej? Twój nauczyciel ukarał cię niesprawiedliwie.

„ Nic, mój ojciec, odpowiedział Cyrus, przekonałem mnie o to, że chłopcy nie żądali odemnie, żebym powiedział komu dogodniejszą będzie która suknia, ale żebym osądził: czy mógł starszy wydzierać własność młodszemu, co byłoby bardzo niesprawiedliwie; albowiem własność każdego świecie <sup>nie</sup> szanowana być powinna. Uznaję, że mię nauczyciel słusznie ukarał.

### SUMIENNOŚĆ.

Noga za nogą szedł sobie Stefanek,  
I niósł pełen mleka dzbanek;  
Chłopczyk drugi śmiał się z niego.

*Stefanek.*

Czego ty się śmiejesz? czego?

*Drugi chłopczyk.*

Bo, jak zółw, przelazisz drogę.

*Stefanek.*

Idę z wolna; bo się boję,  
Widzisz pełno, wylać mogę.

*Drugi chłopczyk.*

Upij trochę.

*Stefanek.*

To nie moje.

Nie chcę cudzej i kropelki;  
Krzywdzić kogo, to grzech wielki.

## XX.

*Cnota nie bywa bez nagrody.*

Z wszystkich pięknych przymiotów człowieka, najwznioślejszym i najwięcej godnym uwielbienia jest zamiłowanie cnoty. Ale, jak wiele na świecie jest występnych, tak mało cnotliwych; bo prawdziwie cnotliwym jest tylko ten, kto bez względu na siebie użytecznym jest dla drugich. I tak: cnotliwy nieprzyjacielowi nawet swemu niesie pomoc w każdej potrzebie; ujmie on sobie, aby się z biednym podzielił, w jego oku jest zawsze i łza dla nieszczęśliwego i czuły uśmiech na szczęście bliźniego. Cnotliwy nie tylko w domu swoim jest wdzięcznym dla rodziców, uprzejmym dla rodziny, wiernym i miłym dla małżonki, starannym i przykładnym dla dzieci, łagodnym i rzetelnym dla domowników; nie tylko w domu pełni wszystkie obowiązki syna, ojca, męża i pana, ale nawet za domem, dla obcych, nieznanych, lecz nieszczęśliwych, czyni wszystko co może, bez widoków

osobistych, z poświęceniem własnego dobra, bez względu czy potrzebujący pomocy godzien jego litości, czy mu kiedy wyświadczył przysługę, lub krzywdę jaką wyrządził. Dzieci! szanujcie takich ludzi, uważajcie ich czyny, starajcie się zbliżyć do nich i naśladować ich postępowanie, starajcie się być cnotliwymi, nie mając siebie na względzie, bez chęci nawet, iżbyście nagrodzeni byli; gdyż cnota sama w sobie ma nagrodę, i nie może być miłszej nagrody nad tę, jaką człowiek po dokonaniu czynu cnotliwego w swém sercu znajduje.

W pewnej wiosce małej, lecz własnej, żyła jedna pani, nie młoda, nie majątna, ale pobożna i dobra. Od kilku już lat nigdzie nie bywała, bo po śmierci męża całkiem poświęciła się pielęgnowaniu chorowitej matki, wychowaniu dwojga swoich dzieci, córki i syna, i zatrudnieniom gospodarskim. Resztę zaś zbywającego jej czasu używała na odwiedzanie swych włościan, zaradzanie ich potrzebom, niesienie ulgi i pociechy w ich cierpieniach. Ile razy wróciła ze wsi do dworku, prawie zawsze widziano jej córkę, pannę Helenę, wybiegającą spiesźnie z lekarstwem dla chorých; to znowu młody pan Zygmunt wychodził z dympozycją do ekonoma, iżby powracającemu do zdrowia posłał miarę zboża, lub wydał z boru furkę drzewa. I nie było rozkoszniejszego dla jej dzieci, jak dopełniać takich zleceń tej kochanej matki. Nauczyły się przy niej czuć szczęście dzielenia z biednemi tego, co po-

siadały i nieraz jeszcze, pomimo jej wiedzy, wsparły wdowę albo sierotę datkiem z swej strony, a dziękczynne słowo, z lżą błogosławiającą ich dobroczynność, było dla nich daleko miłszem, niż dla zbytnika suta ucza, bo ta ich rozkosz nie kończyła się wraz z jej poczęciem, podobnie jak czcza wesołość tamtego.

Ale i dobrzy mają nieprzyjaciół; bo kiedyż złych ludzi zabrakło na świecie? Takim właśnie był chciwy sąsiad tej cnotliwej pani, który podstępem i przemocą wdzierał się w jej pola i łąki, chcąc się przyczynić do jej zniszczenia, aby później małym kosztem mógł nabyć jej wioskę. Niewyraźne granice między wsiami, które dawniej do jednego dziedzica należały, ułatwiały mu te chytre podstępę. Ciemnił on nie tylko swych ludzi, ale jeszcze i jej sługom i właścicielom, broniącym mu takich nadużyć, dokuczał. Raz z młodym panem Zygmuntem, który w prawych wyrazach wyrzucał mu jego postępowanie, przemówił się na granicy, za co zaprzysiął mu w czarnej swej duszy podłą zemstę.

Jednego razu Zygmuntem, chodząc po lesie z fuzją, spostrzegł dwóch ludzi, których postać zdawała mu się podejrzaną; mimowolnie stanął blisko nich niepostrzeżony, i wysłuchał, że się zmagali na okradzenie następnej nocy niegodnego sąsiada. Przestrzegł go i zloczyncy schwytani zostali na gorącym uczynku. Inną razą Zygmuntem, będąc w mieście, wszedł do handlu winą, i w przyległym pokoju usłyszał chalias, podobny do zapalczącej kłótni kilku ludzi. Wkrótce

otworzyły się drzwi, a niemi wybiegł przesładujący go wszędzie sąsiad: lecz zaraz pochwycił go dwaj mężczyźni i zadawszy mu kilka razy, wciągnęli na powrót. Zygmuntem widział jego niebezpieczeństwo, zapomniał krzywd sobie wyrządzonych i z własnym narażeniem się pobiegł mu na pomoc. Panowie! silnie zawolał, krzywdzicie mego sąsiada: jakkolwiek mógł wam ubliżyć, zemsta taka nie jest godną ludzi szlachetnych. Jeżeli go natychmiast nie puścicie, potrafię i jego obronić i nie-forność waszą ukrócić.— Wspaniała postawa i wyraz szlachetnego oblicza Zygmuntem, dodały mocy słowom jego, i wszyscy stanęli przed nim, jak przed sędzią. Zygmuntem korzystając z tej chwili, wyprowadził swego nieprzyjaciela, i zaczętem tamci się zmiarkowali, już był z nim za miastem, szczęśliwy swoim cnotliwym uczynkiem.

Postąpienie takie zobowiązałoby każdego innego, w tym nikczemniku zwiększyło tylko nienawiść ku szlachetnemu nieprzyjacielowi. Widział on się już nie tylko niższym od Zygmuntem, ale nawet shanbionym w oczach jego, i chciał się go pozbyć koniecznie. Wiedział on, że ojciec jego trzymał w zastawie od ojca Zygmuntem, tak wieś, którą mu w spadku zostawił, jako też i tę, która powróconą została rodzicom Zygmuntem: zamierzył wydrzeć ją matce jego i zajął się wyszukiwaniem dawnych w tej mierze układów swego ojca. Znalazł—i wytoczył proces przeciw matce swego dobroczyńcy o nieprawo posiadanie ostatniego szczątka dóbr, dziedzicznych po jej

przodkach. Smutek enotliwej rodziny był wielki, zafana jednak w sprawiedliwości Boskiej, uzbrojona swoją niewinnością, stanęła przed sądem. Tam niegodziwy jej sąsiad złożył dowody, że ojciec Zygmunta, pożyczwszy znaczną sumę od ojca jego, dał mu w zastaw dwie wsie; Zaborze i Krzemionkę; że później odebrał Zaborze i miał spłacić połowę długu, ale w tej chwili ojciec skarżącego umarł nagło, z czego ojciec Zygmunta korzystając, nie uiścił przyrzeczonej wypłaty. Dowody były jasne, a przeciwnych matka Zygmunta złożyć nie mogła, i już miał zapasć wyrok, nakazujący jej, albo uiścić dług męża z procentem, albo ustąpić ze wsi. Lecz w tém myśl, przez Boga natchniona, przychodzi zagrożonej tak wielkiem nieszczęściem i żąda, żeby wyjęto sepultury, to jest: dowody zgonu jej męża i ojca jej sąsiada. Przystal na to sąd, a z dowodów tych okazało się, że mąż jej daleko prędzej umarł, aniżeli jego wierzyciel. Wzięto pod rozwagę drugi raz dowody przez skarżącego pokładane, i gdy im się lepiej przyjrzano, odkryto, że są sfałszowane; z dalszych zaś badań przekonano się, że dług całkowicie spłaconym został, i tylko nagła śmierć ojca Zygmunta była przyczyną, że ten nie odebrał drugiej wsi swojej. Zapadł wyrok skazujący niegodziwego sąsiada nietylko na powrót wsi prawym właścicielom, ale i na więzienie za fałszerstwo.

Tak więc cnotliwe postępowanie Zygmunta sprawiło, że matka jego odzyskała wieś, o której nawet nie wiedziała, że do niej należy. Mąż jej bowiem po-

wracając raz z miasta, zachorował w drodze i w kilka godzin umarł; a teraz, gdy się sprawa jej z sąsiadem rozgłosiła, znaleźli się tacy, którzy zeznali, że tego samego dnia miał w mieście jakieś układy z ojcem sąsiada, że mu płacił znaczne pieniądze, i że obadwaj bardzo wiele pili. Domysłono się więc nie bezsądnie, że ojca Zygmunta umyślnie spoił zły jego sąsiad, a żeby mu zabrał papiery, i jeszcze zadał mu śmierć w zatrutym napoju, a żeby się o ich układach nikt nie dowiedział, a on i przy pieniądzach i przy wsi pozostał. Lecz niedługo się cieszył wydartym majątkiem. Wyrzuty sumienia wkrótce umysł jego obłąkały; napadła go wściekłość szalona, w której gryzł sobie ciało tak, że go wiązać musiano, i w rok niespełna skończył życie w srogich mękach.

Widzicie znowu kochane dzieci, że występki nigdy się nie ukryje i nie ujdzie zasłużonej kary, a cnota zawsze nagrodzoną bywa. Pamiętajcie to i powtarzajcie sobie często piękne zdanie o cności wielkiego naszego poety, Jana Kochanowskiego, który przed trzystu jeszcze laty powiedział:

„Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi;  
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciół srogi,  
Nie spali ogień, nie zabierze woda;  
Nad wszystkim innem panuje przygoda.“



## XXI.

*Występek nie ujdzie zastrawionej kary.*

Już nieraz szlyszeliście odemnie, że po każdym złym czynie następuje ukaranie: że chociaż zły czyn potrafi się ukryć przed okiem ludzkim, nigdy on nie uniknie sprawiedliwości Boskiej. Nie wątpię więc, że o tych prawdach przekonani jesteście dostatecznie; dla większego jednakże zrażenia was od czynów niegodziwych, a tém bardziej od występków i zbrodni, które najwięcej hańbią człowieka i największą karę za sobą ciągną, jeszcze wam opowiem smutną powieść o występny ojcu i jego synu, który dopuścił się zbrodni.

Józef Kołowrot był jedynym synem zamożnego gospodarza we wsi okupnej, w bliskości Kruświcy położonej; swoją pracowitością i przykładaniem się do gospodarstwa, sprawiał on wielką pociechę rodzicom, którzy z uszczęśliwieniem przewidywali, że jak obejmie po nich gospodarstwo, nie zmarnuje ich ciężkiej pracy, ale przy pomocy Boskiej potrafi przyczynić majątku i zapewni los swoim dzieciom, gdy tych więcej odmówił im Pan Bóg. Lecz inaczej się stało. Syn ich już skończył lat osnaście, gdy dnia jednego wysłany do Lipna, o kilka mil odległego miasta, z parą młodych koni na sprzedaż, więcej nie powrócił. Wszelkie poszukiwania były nadaremne, i nikt już nie

watpiał, że ludzie niegodziwi, spostrzegłszy u niego pieniądze, zabili go w powrocie, a ciało jego zakopali gdzie w ziemi. Żal rodziców był wielki, z którego biedna matka wpadła w ciężką chorobę, a ojciec zaniedbał gospodarstwa, nie mając go dla kogo zostawić i chodził jak błędny. Nieszczęśliwi! nie wiedzieli jak wielkie czekało ich jeszcze utrapienie! W trzy lata później wezwano Grzegorza Kołowrota do Sądu poprawczego dla sprawdzenia, czy Józef, który się mienił jego synem, był nim rzeczywiście. Na chwilę wstąpiła nadzieja w serce strapionych rodziców, i biedna matka, chcąc prędzej ujrzeć syna, mimo słabość swoją, pojechała do sądu. Lecz jakóż była ich boleść, gdy syna, schwyconego z innymi złoczyńcami, ujrzeli w kajdanach! Schorzyła matka nie przeżyła tej sromoty i w oczach shańbionego syna padła trupem, a ojciec dowiedział się, że udanie się jego na larmark było skutkiem namowy złych ludzi i pierwszą kradzieżą jego syna, który odtąd połączywszy się z bandą złoczyńców, wiele lotrostw popełnił, aż wreszcie po złupieniu kościoła ujęty został.

Pocziwy Grzegórz, tak go każdy nazywał, nie chciał żyć w okolicy, w której doznał tak wielkiego nieszczęścia; gdzie wszystko przypominało mu zawiedzione najmilsze nadzieje, stratę żony i hańbę niegodziwego syna, która i na niego splywała; nie mógł na nikogo podnieść śmiałego oka, zamierzył więc gospodarstwo swoje oddać jakiej sierocie, a sam udać się na pokutę do Częstochowy i innych miejsc słyna-

cych cudownemi obrazami, dla przebłagania zagniewanego Boga. W tym celu czasowy zarząd gospodarstwa powierzył słudze, mającemu najwięcej jego zaufania, sam zaś, zaprząwszy parę koni do wozu, pojechał szukać jakiego uboższego krewnego, któremuby oddał swój majątek. Jakoż w kilka tygodni powrócił z matką trojga niedorosłych jeszcze dzieci, i zaraz nazajutrz zapisał jej przed sądem swoje gospodarstwo ze wszystkim dobytkiem i sprzętami, a niegodziwego syna wydziedziczył zupełnie. W kilka dni, śród żalu i błogosławieństw sąsiadów, opuścił wieś, w której zjednął sobie miłość i szacunek wszystkich.

W rok potem zdarzeniu, w późny wieczór czerwcowy, kiedy już umilkł skowronek, i tylko gdzieś gdzie odzywała się piosnka chożego parobczaka, pasącego woły niedawno wyprężone z pluga, do jednego z tych pasterzy zbliżył się nagle nieznamy, z zarosłą i wybladłą twarzą, lachmanami odziany podróżny. Pochwalił Pana Jezusa i zaczął wypytywać się o różnych gospodarzy wsi okolicznych, a zagadnięty parobczak opowiedział mu przygodę nieszczęśliwego Grzegorza, dodając, iż miał wyjść za granicę, która przed kilku miesiącami właśnie przy ich wsi oznaczoną została słupami i wymienił mu wieś pograniczną, które należą do księstwa Poznańskiego, a kóre do królestwa. Ciężko westchnął podróżny i pożegnał parobczaka, mówiąc, że chce zdążyć do wsi sąsiedniej, gdzie ma znajomych. Lecz niedaleko uszedłszy, zboczył z drogi w zboże i rzucił się z jeńkiem na ziemię.

Nie domyśliliście się może, że to był Józef Kołowrot. Uciekł on z więzienia, w dzień ukrywał się w zbożu i żywił miękkim jego ziarnem, nocami zaś zbliżał się ku wsi rodzinnej, chcąc jeszcze widzieć ojca, błagać jego przebaczenia, a potem udać się w świat daleki, gdzieby go nie doścignął odgłos jego hańby, tam żyć szczerym i chociażby najcięższą pracą zarabiać na kawałek chleba. Gdy więc nie zastał już ojca, dowiedział się o jego rozpaczy i usłyszał imię swoje przeklinane, uczuł piekielne beleści w swej piersi, już i tak dręczonej srogimi wyrzutami sumienia. Przejechał noc całą i dzień następny, nie ruszywszy się z miejsca, ku wieczorowi dopiero, zastanowiwszy się nad okropnym swoim położeniem, powziął myśl przejścia granicy i winnym kraju, pod pozorem jakoby unikał służby wojskowej, szukać pomieszczenia. Udało mu się przejść granicę, ale obdartego włości nikt do służby przyjąć nie chciał. Po długim wreszcie tulactwie, odziany lepiej z miłosierdzia litościwych ludzi, znalazł miejsce w jednym dworze za posługacza przy kuchni.

Nieszczęście jest najlepszą szkołą dla człowieka. Józef wyszedł z tej szkoły zupełnie dobrym sługą; pilny i wierny podobał się swemu panu, a że był zręczny do posługi i umiał pisać, wkrótce użyty został do pokoju, a wreszcie powierzono mu obowiązki pisarza. Lecz to powołanie podobno go znowu zepsuło. Syn jego pana, równy mu w wieku, był złym człowiekiem; używał go do różnych niegodziwości, w czem

z początku Józef słuchać go nie chciał, ale wreszcie uległ namowom, i potem chętnie mu we wszystkiem dopomagał, a kto wie, czy jeszcze i nie pobudzał go do wielu złych czynów, chcąc się przypodobać paniczowi, którego nważał za drugiego swego pana, i przez to los swój poprawić; ale powtórna niegodziwość jego dalej go zawiodła, aniżeli pierwszą, a Pan Bóg niepomrawność jego srogo ukarał.

W tej samej wsi był kowal, który znał wszystkie prawie sprośne postęпки młodego pana i jego współnika Józefa, powstawał na nie głośno przed ludźmi i nieraz uczynił próżnemi niegodziwe tych rozpustników zabiegi. Z początku żartowali sobie z swego przeciwnika, lecz gdy im coraz bardziej stawał na zawadzie, robili mu wszystko na psotę, aż wreszcie oburzeni przeciw niemu, poprzysięgli mu zemstę i tej dokonali. Jednej nocy wpadli do jego domu, wyciągnęli go z łóżka, i żeby więcej nie stawał im w drodze, na pół żartując, wylupili mu oczy. Przestрах, boleść i obfity krwi upływ, sprawiły, że kowal wkrótce żyć przestał, morderców zaś osadzono w więzieniu, a potem ucięto im głowy na pieńku w mieście Bydgoszczy.

Chociaż Józef Kołowrot, przechodząc dawniej granicę, zmienił swoje imię i nazwisko, z wypadków jednakże życia jego, opowiadanych urywkowo, szczególnie zaś z rozmowy jego przed kilku laty z parochykiem, paszącym woly, który go potem nieraz widział to na jarmarku, to na odpuszcie, poznał go dokładnie jeden człowiek, a tym był własny jego ojciec.

Po długiej pielgrzymce powrócił on do wsi, w której pozostawił swoje szczęście, do której przywiązywało go tyle wspomnień! Nie zastał już wdowy przez siebie obdarzonej, nie żyła; ale zastał jej szwagra, starego towarzysza swojej młodości, sędziwego Macieja, o którym myślał, że zginął na wojnie. Zadrzał na jego widok, chciał uciekać przed nim, ale Maciej silnie go zatrzymał i przyrzekł wieczne milczenie o tém, co między niemi zaszło. Rok blisko Grzegorz mieszkał z Maciejem przy dzieciach jego bratowej, nieraz widział swego syna zdaleka, ale nie miał odwagi dać mu się poznać. Czuł niejaka pociechę z jego poprawy, i bolał zarazem, że jak syna przycisnąć go do serca nie mógł. Niedługo jednakże i tej małej, po tak wielkich cierpieniach, doznawał pociechy; wkrótce bowiem rozeszła się sroga wieść o okrutnem morderstwie kowala; zaledwie Grzegorz usłyszał o sprawcach tego morderstwa, padł bez zmysłów, a odceniony, odzyskawszy sił nieco, żądał, iżby sam z Maciejem mógł pozostać. Gdy to nastąpiło, rzekł do niego: „Widzę karę Pana Boga za wyrządzoną krzywdę twemu bratu, przebac mi ją poczciwy człowieku, żebym mógł umrzeć spokojnie. Kiedy zatrzymany niegodziwie twój majątek, powróciłem wdowie twego brata, rozumiałem, że choć późno, dopełniłem mego obowiązku, i że cierpienia moje prześlą sprawiedliwość Boską, ale inaczej się stało; Pan Bóg wszedł w ciężki rachunek z sługą swoim. Przebac! niech stanę czyśty przed straszliwym Sądem Jego.“

Chciał jeszcze mówić, ale go już siły odstępily i skończył. Kochane dzieci, widzicie w tej powieści, że ojciec Józefa jakimś sposobem zatrzymał sobie majątek cudzy i przeniósł się w inną okolicę, a chociaż o jego występku nikt nie wiedział, gdyż wszyscy nawet nazywali go człowiekiem poczciwym, nie wyszedł on sprawiedliwości Boskiej, i Bóg ukarał występnego przez hańbę jego syna. Widzicie jak cudowną drogą powrócony został sierotom majątek wydarty ich ojcu. Lękajcie się więc zawsze sprawiedliwej kary Boskiej, a niewinni, nie traćcie nigdy ufności w dobroci Boga, chociaż was kiedy spotka jakie nieszczęście; bo jeżeli to będzie zasłużone, przyjąć je należy jako karę, a jeżeli nie zwłaszcza waszj winy nastąpiło, Bóg je nagrodzi.



## XXII.

*Ten szczęśliwy kto przesłał na swoim.*

W stanie włościan, to jest w tym, w którym wy-  
jecie, kochane dzieci, bywa zwykle posiadanie nie  
wielkie, ale też i potrzeby są małe. Przy pracy la-  
two je zaspokoić można, a żyjąc uczciwie i bogobo-  
jnie, przestając na tém, co się posiada, zyskuje się  
szczęście prawdziwe. Niech więc nigdy na widok  
bogatszych nie obudza się w was żądza lepszego mie-  
nia, bo ta zatruwa tylko spokojność i szczęście. Prócz  
tego, los bogacza nie jest wcale do zazdrości; gdyby-  
ście tylko poznali kłopoty i niespokojności jego, za-  
nie w świecie nie miałibyście swj szczerplj chatki  
i kilku zagonów ziemi na liczne jego dobra. Wiédźcie  
przytém, iż rzadko się zdarza, żeby człowiek, który  
wyszedł ze swego stanu, był szczęśliwym. Napotka-  
on w wyższym stanie tysiącne udręczenia, których  
nie znał przedtém; będzie mu zawsze mało, nie za-  
spokoja go ani honory, ani dostatki i nieraz westchnie  
do ubogiej zagrody, w której żył spokojnie. Dwa  
następujące przykłady dadzą wam poznać prawdę  
tego, co mówię.

Przed trzystu przeszło laty żył w Krakowie bie-  
dny chłopiec, bez rodziców, Erazmem Krakowczy-

kiem zwany, dlatego, że przebiegał ulicę tego miasta, śpiewając różne piosnki i przygrywając na lutni. Z tego się on utrzymywał, żył wesoło i szczęśliwie. Nie troszczył się o jutro, bo wszędzie, gdzie się pokazał z swoją lutnią i wesołemi śpiewkami, znajdował wżyczenie i przytułek. Chociaż nie miał swego kącika i codziem pod innym spał dachem, nie zazdrościł innym dostatków i był od nich szczęśliwszym. Razu jednego poznał go dworzanie królewicza Polskiego, podobał mu się śpiew i granie, a nadewszystko wesołość Erazma, wziął go więc z sobą do dworu. Tam jego dowcip przebijający się szczególnie w trafnych odpowiedziach, zajął książęcia; — ten więcłożył na nauki Erazma, który tyle z nich korzystał, że stopniowo doszedł do najwyższych godności, i wreszcie w sprawach państwa wysłany został do obcych krajów. Lecz Erazm, już teraz Witelusem zwany, nie przestał na swoim i zapragnął więcej; — nadużył zaufania króla, zaprzedał poruczone sobie sprawy, do wielkich dostatków przyłączył ogromne summy i nie był szczęśliwym! Utracił dawną spokojność, pożerała go żądza coraz większych bogactw i dostojenstw, trapiły wymówki jego dobroczyńców, dręczyły wyrzuty sumienia, męczyły zawiedzione nadzieje; i tak, wśród bogactw i dostojenstw shańbiony i wynędzniały, z zachmurzonym czołem i posępnym licem, zamknął się w strojnych złotych pokojach, gdzie trawił nocę bezsenne, dni ponure spędzał, dopóki śmierć zawczesna nie uwolniła go od tych męczarni. Czyliż nie był

szczęśliwszym, kiedy w lichéj sukmance przebiegał ulicę Krakowa i żył wesoło zarobionym chlebem?

O dwieście lat przedź, pod tymże samym Krakowem, we wsi Łobzowie, stała chatka Szymona Zbroja, ubożego zagrodnika, a poprzednio odważnego żołnierza. Chatka ta jednę z pań dworu, Czesce rodem, Rokieczanę zwanę, zasłaniała widok na ogród Łobzowa i na Kraków. Ta niedobra kobiéta kazała ją zwać, nie zważając że Zbroja został bez dachu i chleba. Był on bardzo nieszczęśliwy; na starość nie miał przytułka, żebrać się wstydził; bo przyzwyczajony do używania chleba z własnej pracy, cierpiał teraz głód i zimno, tak, że los jego obudzał litość wsi całej.

Skoro powrócił do stolicy nieobecny pod ten czas król Kazimierz Wielki, z powodu swéj sprawiedliwości i dobroci dla włóścian, królem chłopków zwany, udał się do niego Bródza, sołtys Łobzowa, przyprowadził z sobą skrzywdzonego Zbroję i oskarżył Rokieczanę; Kazimierz, jak tylko się o rzetelności skargi przekonał, nagroził i sówicie obdarzył Zbroję. Z ubożego zagrodnika został on zamożnym gospodarzem, majątek jego przetrwał długie lata i wraz z nazwiskiem dochował się do dni naszych. Bylby Szymon Zbroja, byliby i jego potomkowie mieli sposobność piąć się coraz wyżej; ale ani on, ani późniejsi, nie chcieli nigdy wyjść ze swego stanu — i gdy przed kilkunastu laty jednemu z nich doradzano, iżby syra, który się dobrze uczył, kierował na urzędnika, nie chciał on o tém słuchać i z oburzeniem zawołał, „Co?

ja miałbym patrzeć na to, jak syn mój ze stanu swego wyjdzie i zaprze się dawnego Zbrojów imienia? Chłopek, ci on jest wprawdzie, ale odwiecznym i szanowanym; gdyby frak przywdział, rolę opuścił, a nawet i szlachcicem został, nie miałby tego co dziś szacunku, a może zostałby wyśmianym." — Syn równie baczący jak ojciec, chętnie pozostał przy roli, którą przodkowie jego uprawiali, i nie szukał żony w wyższych stanach, ale pojął sobie za dozoną towarzyszkę, dziewczkę z Łobzowa.

Tak, moje dzieci, nikt się nie powinien wstydzić stanu, w którym się urodził; bo stan nie krzywdzi człowieka, ale sam człowiek ohydza siebie, jeżeli niezgodziwie postępuje. W jakimkolwiek bądź żyjemy stanie, abysmy tylko żyli bogobojnie i uczciwie, możemy zasłużyć na szacunek ludzi i być szczęśliwymi. Hużto bogaczy, ilu wyniesionych na wysokie dostojeństwa, zaledwie pozornym szczęściem błyszcząc mogą, a wewnątrz trawi ich niepokój i wyrzuty sumienia? Zapewniam was, że takich jak Erazm Witelius jest zawsze bardzo wielu. Oby więcej podobnych było Zbroi!

### CHŁOPEK.

Był chłopiek, co znał tylko swój zakątek rodzimny,  
Kochał cnotę, czcił Boga w prostocie niewianej,  
Skromną posiadał chatkę, kawałek ziemi mały;  
Lecz że był pracowity i o przyszłość dbały,

Jak owa skrzętna pszezołka płoń do domu zosił:

*W sąsiadów pożył i o nie nie prosił.*

Jakaż zład nauki — oto ta, mój panie,

Że można być szczęśliwym i w najniższym stanie.

St. J.

KONIEC.



235109

235109

	Str.
1. Wstęp	5
2. Dobry uczynek . . . . .	7
3. Nieuczynność . . . . .	16
4. Każdy powinien . . . . .	19
5. Złego człowieka każdy unika, a każdy rad żyje z złym człowiekiem uczciwym	22
6. Człowiekowi bezwzględnie samo nawet nie- szczęście przynosi dobre wychodzi	29
7. Poczciwość . . . . .	33
8. Pan Bóg za . . . . .	38
9. Zbyteczne ubieganie się za bogactwami pro- wadzi do strup lub występku	43
10. Bogactwa często . . . . .	48
11. Praca i oszczędność . . . . .	52
12. Lenistwo jest przyczyną ubóstwa . . . . .	56
13. . . . .	61
14. . . . .	65
15. . . . .	69
16. . . . .	73
17. . . . .	77
18. . . . .	81
19. . . . .	85
20. . . . .	89
21. . . . .	93